Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 12 maja 1935 r. Nr. 18.



SIELANKA

Jakiś pogodny, wiosenny dzień,
Trochę zieleni i trochę słońca
Z oddali garstka błękitnych lśnień
I oczu czyichś głąb gorąca
I czyichś ust wymowa słodka —
Ciche zaklęcia, splot miłych słów...
I tak po zwrotce rodzi się zwrotka,
Pośród sielanki miłosnej snów.

A potem idą wolniutko dni..
Zielone liście stopniowo gasną
I słonko jakoś inaczej lśni
I błękit traci swą barwę jasną..
Słów czułych coraz i coraz mniej,
Oczy gorąco już nie patrzą,
Toną bezwiednie w zadumie swej
I łzą się coraz częściej znaczą.

Aż przyjdzie dzień cichej rozłąki —
Słów już nie stanie, zszarzeje dal
I pójdzie w nią serc smutnych dwoje
Żal z sobą niosąc — serdeczny żal...

„Kalina".

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

2)

— Skrzywdził ciebie ten człowiek bez sumienia tak bardzo niesprawiedliwie i niezasłużenie, a ci mniejsi, zamiast pożałować nas, to jeszcze powalonych kopią, lub biernie przyglądają się, jak inni to robią...

— Oluś, przyjedź choć na niedzielę, lżej mi będzie potem przenosić to wszystko.

* * *

Adaśko i Jolka wracali z parku miejskiego ze służącą, dokąd codziennie wysyłała ich matka na spacer.

Pareczka ta — chłopiec czteroletni, dziewczynka trzyletnia — szła wolno, trzymając się za ręce i rozprawiając o czemś poważnie. W pewnem oddaleniu kroczyła za niemi niańka.

Gdy byli już przed gmachem zarządu, który musieli mijać, bo budynek stał tuż przy bramie wejściowej, we drzwiach ukazał się pułkownik z sekretarzem.

— Czyje to dzieci? — zaczepił służącą.

— Pana Gozdawy — wyjąkała zaskoczona dziewczyna.

Dzieci zatrzymały się również i z powagą i z pewnem zaciekawieniem wpatrywały się w dyrektora, gdyż w ich tak krótkiem jeszcze życiu pierwszy raz ktoś z personelu zakładu zainteresował się niemi, zaczepił rozmową przyjazną.

Znów sekretarz ze zdumieniem zauważył zmięszanie i jakby wzruszenie na twarzy dyrektora.

— Jak się masz, zuchu, — zwrócił się pułkownik do chłopca, wyciągając rękę do niego.

Ten z powagą podał mu swoją pulchną, ale niezbyt czystą łapkę. Dziewczynka dygnęła.

— Wracacie ze spaceru? — próbował pułkownik nawiązać z nimi rozmowę.

— Tak, chodziliśmy do lasku — objaśnił poważnie chłopiec.

— Jak ci na imię? — ciągnął rozmowę dalej pułkownik.

— Adaś, a jej... — tu wskazał palcem na siostrę — Jolka.

— I ja mam takiego synka jak ty, na imię mu Jarek. Jak przyjedzie, to przyjdzie się bawić z tobą.

— A nie będzie mnie bił, ani Jolki? — zapytał nieufnie chłopiec.

— Co znowu... oburzył się pułkownik. — Oni nikogo nie bije.

— Bo Antoś i Kostuś, co to wyjechali, to nas zawsze bili.

Pułkownik spojrzał pytająco na sekretarza.

— Dzieci pułkownika Pragniewicza — objaśnił urzędnik.

Zmarszczył się niechętnie pułkownik i coś ni to zgorszenie, ni to oburzenie zamigotało w jego jasnych źrenicach.

— A ty lubisz się bić — zwrócił się znów do chłopca.

— Jak mnie biją, to i ja biję — odparł rezolutnie malec.

— Zuch jesteś! — poklepał go po głowie.

— Ładne dzieci, co? — zwrócił się do sekretarza, gdy dzieci odeszły.

— Ładne — powtórzył bez entuzjazmu podwładny.

Dzieci były jak dzieci; miały buzie okrągłe, oczy szeroko otwarte, noski płaskie, co to jeszcze nie wiadomo, czy ukształtują się na garbate, czy proste.

— — — — — — — —

Scenę tę obserwowało kilka pań, siedzących na ławeczce przed blokiem mieszkalnym.

Nowe zdumienie, domysły, temat do rozmów. Sam zaczepił dzieci, a więc nie był tak zacięty na Gozdawę, jak podpułkownik Pragniewicz.

Pani Protopow zawołała córkę do siebie. Przybiegła dziewczynka lat ośmiu zręczna, ładna, o ciemnoszafirowych oczach i regularnych rysach. Szpecił ją tylko złośliwy wyraz twarzy i twarde, nachalne spojrzenie oczu, jakie miewają zazwyczaj rosjanki lub żydówki.

— Tuska — zwróciła się do niej — żebyś mi się nie ważyła więcej razy szczuć Djanką Adaśka lub Jolkę, rozumiesz, bo tatuś będzie o tem wiedział. —

Mała, chytrość odziedziczyła po ojcu, zrozumiała w lot zmianę frontu względem „parjasów".

Kiwnęła głową na znak, że będzie o tem pamiętała.

* * *

Pułkownik z intendentem i gospodarzem budynków poszedł do bloku familijnego obejrzeć mieszkanie po swoim poprzedniku.

Cztero-pokojowe, słoneczne, widne, dość czyste wymagało jednak pewnego odnowienia, małych naprawek stolarsko-mularskich.

Schodząc ze schodów objaśniał zarządzającemu budynkami, co i jak ma kazać robić majstrom. Kuchnia wymagała odnowienia, przedpokój tapet, okna i drzwi odmalowania.

Żądał, by to zostało jak najprędzej zrobione, bo chciał żonę już wkrótce do siebie sprowadzić.

Na ścieżce spotkali się z panią Gabrynią. Szła z Jolką. Dziewczynka, rzucając piłkę o ziemię, podskakiwała lekko jak ptaszek. Matka w eleganckim granatowym kostjumie i takimże filcowym kapeluszu uśmiechała się do dziecka.

Na widok dyrektora zawahała się, zwolniła kroku, jakby chciała uniknąć spotkania.

On pobladł znów i fala wzruszenia przeszła mu przez oczy. Z wyciągniętą ręką podszedł ku niej.

— Nie poznałem pani, gdy pierwszy raz zobaczyłem ją tutaj — zaczął, podnosząc jej rękę do ust.

— Znamy się tak mało, widzieliśmy się tak przelotnie i krótko, więc nic dziwnego, że pan pułkownik mnie nie poznał.

— Ja również nie poznałabym pana, gdyby nie wiedziała, kto jest nowym dyrektorem.

Otwierał usta, chciał coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do słowa.

— Jak się panu tu podoba? Zdaje się, pan pułkownik pierwszy raz w tych stronach?

Odpowiedział, patrząc na nią stęsknionym, pokornym wzrokiem.

— Narazie dosyć mi tu przyjemnie i mam nadzieję, że i żona moja nie będzie bardzo narzekać, bo to niby jedna i ta sama Polska, ale inny mimo to kraj, inne obyczaje i zwyczaje, a nawet zapatrywania.

— Pan prawdopodobnie niedługo już sprowadzi żonę, bo wiosna to najładniejszy okres roku, nawet tutaj.

Uśmiechnęła się uprzejmie, kiwnęła głową i minęła go grzeczna, spokojna, zrównoważona.

Pułkownik, ze zmarszczoną brwią i zaciętemi ustami ruszył naprzód, milcząc i gryząc nerwowo górną wargę.

— — — — — — — —

Na schodach, wiodących do gabinetu, pan Protopow odezwał się głosem pieszczącym, jak pocałunek dziecka:

— Panie pułkowniku, pan może zająć mieszkanie pana kontrolera Gozdawy — jest to najlepsze mieszkanie w koszarach: duże, jasne, ciepłe, a pan Gozdawa nie należy przecież do urzędników naszych obecnie.

Pułkownik stanął jak wryty. Oczy jego były zimne jak stal, a spojrzenie kłujące niby sztylet.

Głos mu się rwał i syczał od tłumionego gniewu.

— Pan był oficerem?

— Tak jest, panie pułkowniku — wyprężył się zaskoczony i tonem i pytaniem.

— Pan był oficerem, bo nosił pan mundur, ale nie dżentelmenem, jakim powinien być każdy z oficerów.

Ruszył dalej sam, gestem zatrzymawszy pana Protopowa skamieniałego niemal, na pierwszym stopniu ze zdumienia i wstydu.

* * *

Nazajutrz dyrektor, zaraz po przyjściu do biura, zawezwał go do siebie.

Chłodny, sztywny, urzędowy przywitał go skinieniem głowy, nie prosił siadać, nie podał ręki.

— Proszę pana zgłosić się do pani Gozdawiny i zapytać, czy mieszkanie jej nie wymaga remontu. O ile tak, to ma być zrobiony, nim zacznie się robotę w mojem mieszkaniu.

— A właśnie, jest nawet podanie paną Gozdawy o remont pieców i odnowienie kuchni — wtrącił nieśmiało pan Protopow.

— Dawno? — rzucił krótko dyrektor.

— Wpłynęło parę tygodni temu...

Żachnął się gniewnie pułkownik.

— Proszę mi go przedłożyć natychmiast!

Żądane podanie leżało przed nim z błyskawiczną szybkością.

— Uwzględniam, załatwić natychmiast — Szneliński.

W milczeniu podsunął papier urzędnikowi, w milczeniu Protopow wyszedł z gabinetu.

Co ich może łączyć? — plątało mu się w mózgu natrętne pytanie, że tak mu o nich chodzi.

Nie poznał jej, widzieli się tylko parę razy, według jej słów, a on bladnie za każdem spotkaniem z nią i potraktował mnie

jak psa, gdy mu poradziłem, by zajął ich mieszkanie.

— — — — — — — —

W domu mówił do żony:

— Luba, idź do Gozdawiny i zaproś jej dzieci do nas.

— Jak widać z zachowania się dyrektora, lepiej z nimi żyć w zgodzie.

* * *

Tego samego popołudnia wybrała się pani Luba Protopowa do pani Gabryni.

Otworzyła drzwi sama pani Gabrynia. Dzieci były na spacerze z niańką, kucharka w mieście po zakupy.

Ukrywając zdziwienie z tak niespodziewanej wizyty, gdyż żadna z żon urzędników od trzech lat, w obawie przed niełaską dyrektora i jego żony, nie przekroczyła progu jej domu, zaprosiła ją uprzejmie do salonu.

Duży, słoneczny pokój, umeblowany gustownie, choć skromnie, robił wrażenie miłe i przytulne.

Obrazy dobrego pędzla, kilimy artystyczne, książki, kwiaty w kryształowych wazonach mówiły o wysokiej kulturze mieszkańców tego pokoju.

Pani Luba czuła się nieswojo. Kręciła się na siedzeniu, bawiła się „face à main", chrząkała, nie wiedząc od czego zacząć.

Przyszła jej z pomocą pani Gabrynia, biorąc ze stolika zaczęty haft i przysuwając gościowi.

— Bardzo się cieszę, że pani przyszła — zagaiła rozmowę.

— Biedzę się nad tym haftem już od pół godziny i nie umiem rozmieścić go na materjale. Stale wychodzi mi to za wysoko, to za nisko, to zbyt blisko brzegu z jednej strony.

Rozwinęła kawałek aksamitu i wzór. Nachyliły się obydwie nad robotą i to przełamało pierwsze lody, usunęło przymus.

Gdy wymierzyły równe odległości, pani Luba odezwała się niby od niechcenia:

— Będziemy mieli wkrótce nową dyrektorową wśród nas, przyjeżdża za parę tygodni.

— Przypuszczam, że się panie z nią żyją równie dobrze i dopasują, tak jak do poprzedniej — rzuciła uwagę pani Gabrynia.

— Och, nie daj Boże, żeby była podobna do Pragniewiczowej, toż to była histeryczka, nieobliczalna w słowach i czynach. — Dziś wita się, a jutro odwraca od ciebie. — Tylko histeryczka mogła robić takie szykany, jakie ona pani robiła.

— A wyście jej dzielnie w tem pomagały — pomyślała sobie pani Gabrynia. Głośno odparła:

— To takie ludzkie — gnębić tych, kto bronić się nie jest w stanie, lub nie umie.

Zaczerwieniła się lekko pani Luba i zaczęła gorliwie obliczać ściegi, by po chwili znów zagadnąć znienacka:

— Pani nie zna naszej dyrektorowej? Zdaje mi się, że z pułkownikiem spotkała się pani już gdzieś przedtem?

— Nie, nigdy jej nie widziałam...

— Naprawdę? — zdziwiła się szczerze pani Luba. — Miałam wrażenie, że panie się znają.





W poniedziałek rozpoczęły się uroczystości jubileuszowe 25-tej rocznicy wstąpienia na tron angielski króla Jerzego V i żony jego Marji. W powyższych strojach wystąpiła para królewska na nabożeństwie w katedrze. Król miał na sobie mundur wojskowy z wszystkiemi, otrzymanemi w ciągu życia najwyższemi orderami. Królowa włożyła suknię ze srebrnej lamy i wszystkie klejnoty dworskie, nieocenionej poprostu wartości. Jeden ze znawców orzekł, że na zakupienie tych klejnotów potrzebaby 3/4 zapasu złota, znajdującego się we wszystkich bankach świata.

— Nie — odparła znów krótko pani Gabrynia, tonem nie zachęcającym do dalszych pytań.

* * *

Tego wieczoru gwarno było w malutkim saloniku pani Luby.

Zeszły się prawie wszystkie panie i kilku panów.

Panowie, jak to panowie, zasiedli odrazu do bridża i wobec groźnych szlemików i szlemów przeciwników nie mieli czasu na rozmówki.

Za to w kąciku pań wrzało jak w ulu, lub na bzie majową, wieczorną porą.

— Co ich może łączyć?

— Nie nienawiść, jak z pułkownikostwem Pragniewiczami.

— Nie przyjaźń, bo prawie się nie spotykali i ona nie zna nawet jego żony.

— Nie miłość chyba... nic w niej niema interesującego.

— Kto wie? — zastanowiły się. — Rotmistrz Gozdawa jest bardzo przystojny, bodaj czy nie przystojniejszy nawet od pułkownika, no i młodszy, a ożenił się z nią, i jaki z niego dobry mąż!

— Ci mężczyźni! Nieobliczalne to zupełnie stworzenia, a ich gusta! — wzdychały, jedna po drugiej.

Miały rację, że gust mężczyzn jest nieobliczalny, sądząc po nich samych. Zaledwie parę z nich mogły uchodzić za przystojne.

Gdyby mężczyźni byli konsekwentniejsi, to nie byłoby tyle brzydkich, krzywonogich, sutułowatych mężatek, wybieranych właśnie z pomiędzy grona, gdzie niebrakło ładnych i zgrabnych panienek, z któremi tak chętnie flirtowali wówczas.

* * *

Pani Gabrynia promieniała. Radość biła od niej łuną rumieńca i blaskiem oczów.

— Oleg przyjeżdża na dwa dni!

— Całe 48 godzin będzie go miała przy sobie, będzie patrzyła w jego kochane szaro-zielone oczy, będzie czuła jego mocne, męskie, a pieszczotliwe dotknięcie rąk.

Spieszy się, bo chciałaby upiec tort i zaopatrzyć się w smakołyki na mieście.

— Dzieci w przedszkolu, ma dużo czasu przed sobą.

— Oleg przyjeżdża! — to jedna, jedyna myśl, na którą zdobyć się może.

— Oleg przyjeżdża! — świergocą ptaszki na krzaku dzikiego bzu pod oknem.

— Oleg przyjeżdża! — tyka zegarek, brzęczą druty telegraficzne, wystukują na placu kopyta końskie.

Słońce świeci jaskrawo, złociście, w powietrzu pachną kasztany, któremi obsadzone są koszary.

Idzie przez plac, uśmiechnięta radośnie.

Na przystanku stoi już tramwaj.

Dochodząc do bramy posłyszała sygnał odjazdu.

Biegła. — Za wszelką cenę musi pojechać tym tramwajem.

Zziajana dopadła stopni w chwili, gdy wóz ruszył. Kilka par rąk wysunęło się ku niej. Wskoczyła z ich pomocą i zatoczyła się na kogoś, stojącego z tyłu.

Krótkie, zasapane — przepraszam — i w odpowiedzi niski, znajomy bas męski.

— Ale sportsmenka z pani!

Odwróciła się raptownie i spotkała oczy pułkownika, trochę wzruszone i rozradowane.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

12)

W pierwszem z przedsiębiorstw takich służba nie wstała jeszcze i zeżyła go; w drugiem — o niczem nie wiedziano, jeszcze gdzieindziej właściciel zakładu odmówił mu pokazania ksiąg, w których jest notowane zazwyczaj, o której godzinie ten, a ten woźnica powrócił do domu i ile zarobił. Już tracić zaczął nadzieję, gdy nareszcie około godziny ósmej, w pełnem już świetle, u jednego z właścicieli, nazwiskiem Trigolt, którego zakład znajdował się po za fortyfikacjami, dowiedział się na koniec, iż nocy tej, jeden z woźniców powracając już do domu, zawrócił do Paryża. Wskazano mu przytem woźnicę owego, który był zajęty właśnie oporządzaniem swego pojazdu.

Był to gruby, niski mężczyzna, z cerą ogorzałą, z okiem bystrem i przenikliwem.

Lekok podbiegł oczywiście ku niemu natychmiast.

— Czy to ty — zapytał go — w noc zapustną, już po północy, zabrałeś dwie kobiety na ulicy Chevaleret i zawiozłeś je do miasta?

Doróżkarz wyprostował się, obrzucił Lekoka chłodnem spojrzeniem, a następnie rzekł nic nieznaczącego:

— Być może.

Młody policjant zadrżał ze wzruszenia. Był to niewątpliwie człowiek, którego poszukiwał. Powiedział więc do niego:

— Słyszałeś zapewne o zbrodni w okolicy.

— Słyszałem. W jakimś szynku zabito...

— Właśnie. Otóż w szynkowni owej znajdowały się te same dwie kobiety, któreś ty następnie odwiózł do miasta. Jestem ajentem służby bezpieczeństwa, oto moja karta. Czy nie zechciałbyś mi dać paru objaśnień?

Gruby dorożkarz, po usłyszeniu słów tych, zzieleniał na twarzy.

— A szelmy! — zawołał. — Nie dziwię się teraz iż dały mi one taki chojny napiwek. Dały złotego luidora i dwie srebrne sztuki po sto su, razem trzydzieści franków. Ohydne pieniądze, krwią zbryzgane! Gdyby nie to, że już poszły do ludzi, to bym je rzucił w błoto.

— Dokąd je zawiozłeś bracie?

— Na ulicę Bourgogne. Nie pamiętam numeru, dom poznałbym jednak z łatwością.

— Niestety, nie do siebie zawieźć się one kazały zapewne...

— Kto ich wie? Widziałem, jak dzwoniły, jak im otworzono i jak znikły w ciemnościach sieni. Jeżeli pan chcesz, to mogę cię tam zawieźć.

— Jedziemy — zawołał Lekok, rzucając się na poduszki.

XIV.

Lekok jadąc do domu owego był prawie absolutnie pewien, iż kobiety owe nie mogły wprost do swego własnego zajechać mieszkania. Postępował jednak, jadąc tam, w myśl zasady, jaką wypracował sobie w czasie godzin długich rozmyślań, a która brzmiała:

„Gdy się jest na śladzie, należy krytycznie zapatrywać się na rzeczy, zdające się być zupełnie prawdopodobnemi przedewszystkiem; brać zaś pod uwagę te, które są nieprawdopodobnemi na pierwszy rzut oka“.

Ten właśnie aksjomat zapewnił mu w przyszłości sławę.

Powóz toczył się szybko. Woźnica nie posługiwał się batem nawet. Od czasu do czasu tylko cmokał, z dodatkiem słów: „wio, wista, kokotko“, a zwierzę z samej intonacji poznawało, że nie czas na żarty, że pospieszać należy ze wszystkich sił.

Gdy powóz znajdował się już na drodze Choisy, Lekok zawiązał z woźnicą rozmowę.

— Mój przyjacielu, czy nie zechciałbyś tak coś niecoś mi o tych kobietach opowiedzieć?

— Najchętniej. Miałem dzień, że niech go djabli wezmą. Cały wieczór tłukłem się po bulwarach w czasie śnieżnej zawieruchy, — bez żadnego prawie zarobku. Około północy miałem w kabzie zaledwie sześć franków całej parady. Rozpacz. Byłem zziębnięty, a i „Kokotka“ moja bardzo mi osłabła. Myślę sobie tedy: „trza wracać“ i tak też uczyniłem. Byłem już prawie poza miastem, przy samym końcu ulicy Chevaleret, gdy już zdala ujrzałem dwie kobiety stojące pod latarnią. Zacząłem im się przyglądać, bo to co do kobiet, uważa pan...

— Pojmuję to doskonale — przerwał zwierzenia młody policjant — cóż dalej?

— Otóż mijam je wyciągniętym kłusem, a one zaczynają wołać: „Dorózka! dorózka!... Udaję, jakbym nie słyszał wtedy jednak jedna z kobiet tych zaczęła biedz za mną z wołaniem: „Dam luidora napiwku“. Ja nic. Wtedy ta kobieta dodaje: „I dziesięć franków za kurs“... To już było silniejsze odemnie, zatrzymałem konia.

Lekok wrzał z niecierpliwości. Rozumiał jednak, że pytania bezpośrednie nie doprowadzą do niczego, należało ścierpieć to gadulstwo.

— Nie weźmiesz mnie pan za tak głupiego chyba — ciągnął dalej dorożkarz — bym miał odrazu uwierzyć tym jejmościankom z pod latarni. Gdy więc zbliżyły się one do mnie, wtedy powiadam: „Za pozwoleniem moje ślicznotki, miało tam coś być za moją drogę, więc gdzie to jest?“ Wtedy jedna z nich daje mi bez większych namysłów owe trzydzieści franków i mówi: „Oto jest zapłata, a teraz jedź, tylko prędko“.

— Niepodobna opowiadać barwniej i dokładniej mój przyjacielu. Dziękuję ci za to, a teraz — jak wyglądały kobiety owe? Za kogo byś je tak wziął, naprzykład?

Poczciwa twarz woźnicy rozjaśniła się wesołym uśmiechem.

— A jakby wyglądać miały? — zawołał rubasznie — na dwie nic dobrego!

— Acha!... A jak były ubrane?

— Tak, jak pannice, idące na bal „Pod Tęczę“, rozumiesz pan? Tylko, że jedna z nich ubrana była elegancko, gdy druga — dosyć licho. Tylko co za ton, co za fumy!... Ho!... ho!...

Urwał nagle. Jedno ze wspomnień było tak jaskrawe, do tego stopnia go olśniło, że aż wstrzymał konia.

— Czekaj no, pan — zawołał — w tej chwili sobie przypomniałem, że jedna z tych ladacznic swą towarzyszkę nazywała panią i to z całą uniżonością, gdy tamta przemawiała do niej tonem rozkazodawczym i bardzo ostro.

— Oho... ho... zawołał młody policjant — i któraż to przybierała rolę pani? —

— Ta, która była gorzej ubrana i której postępowanie było pełne energji, która za mną goniła. Trzęsła tamtą elegantką, jak starym wiechciem.

— „Nieszczęśliwa — mówiła do niej — czy chcesz nas zgubić?... Będziesz miała dosyć czasu na swe omdlenie, gdy wrócisz do domu.“ A tamta odpowiadała z płaczem: „Doprawdy, pani, ja już nie mogę“. I istotnie widać było, iż opadała z sił. Powiedziałem wtedy sobie: „oho!... ta mała wlała w siebie więcej, niż była powinna“.

Dane te, nadzwyczaj ważne, potwierdzały z pewnemi poprawkami, pierwsze hipotezy Lekoka.

Przecież on twierdził, iż jedna z tych kobiet była panią, zaś druga — jej służebną. Omylił się co do tego tylko, iż kobiecie w ciężkich trzewikach dawał niższe socjalne stanowisko, gdy było odwrotnie: kobieta w cienkiem obuwiu właśnie i na wysokich obcasach, okazała się służebną bowiem.

— Czy to już wszystko mój przyjacielu — zapytał Lekok jeszcze — co miałeś do opowiedzenia?

— Mniej więcej wszystko — odpowiedział dorożkarz — zauważyłem tylko, że ta, która goniła za mną i która mi płaciła, ta źle ubrana, miała rękę... że niech ją!... wprost dziecinną miała rączkę. Przytem jej głos mimo gniewu, był śpiewny, jak muzyka.

— Czy widziałeś jej twarz?

— Twarz?... Bardzo mało... Jak mi się widzi, nie jest ona piękną i nie zdaje mi się, by była zbyt młoda ona. To jest tylko pewne, iż jest blondynką i ma dużo włosów na głowie. Wzrostu średniego, ni chuda, ni tłusta.

— A tamta druga — zapytał Lekok — ta elegantka?

— Do djabła!... Tej drugiej to tak, jakbym nie widział. Zdała mi się dosyć drobną, oto wszystko.

— Czy poznałbyś tą, która ci płaciła, gdyby ci ją pokazano?

— A to jakim cudem? Przecież ja ją widziałem w ciemności i pod kapeluszem!

Dorożka znajdowała się już w połowie ulicy Bourgogne; woźnica ściągnął lejce i zawołał:

— Baczność. Oto jest dom, do którego weszły te dwie nic dobrego.

Młody policjant zdjął wtedy fularową chustkę, którą miał owiniętą szyję, złożył ją starannie, wsunął do kieszeni, zeskoczył na ziemię i wszedł do wskazanego domu.

W izbie odźwiernego zastał starą kobietę reperującą odzież.

— Pani — rzekł do niej Lekok grzecznie, fular pokazując — odnoszę chustkę, zgubioną na ulicy przez jedną z lokatorek tego domu. Przez którą? — nie wiem tego.

Zacnej staruszce wydało się, iż chcą żarty z niej stroić.

— Uciekajno pędziwiatrze — zawołała — bo cię jeszcze przegonię.

— Pani mnie źle zrozumiała widocznie — odpowiedział na to Lekok z jeszcze większą uprzejmością — wytłumaczę się zaraz. Oto jak było. Onegdaj wieczorem, a raczej wczoraj rano, było to bowiem około godziny trzeciej po północy, szedłem sobie spokojnie do domu spać, gdy niedaleko stąd wyprzedziły mnie dwie jakieś panie, którym się bardzo najwidoczniej spieszyło i jedna z nich upuściła tę oto chusteczkę właśnie. Pospieszyłem podnieść zgubę, by ją zwrócić ich prawym właścicielkom, gdy spostrzegłem iż znikły one w tym domu właśnie. O tak późnej godzinie nie śmiałem dzwonić, ażeby nie przeszkadzać pani, wczoraj miałem cały dzień zajęty, dopiero więc dziś przyszedłem, ażeby oddać zgubę.

Po wymówieniu słów tych Lekok położył fular na stole i zaczął udawać, iż się zabiera do wyjścia. Odźwierna zatrzymała go jednak.

— Grzeczny i uczciwy z pana człowiek — powiedziała — fularu tego jednak nie mogę przyjąć od pana, my bowiem nie mamy w domu kobiet, któreby wracały same po północy.

— Jednakże... — udał Lekok zdziwienie — ja przecież sam, na własne oczy widziałem...

— Doprawdy, to jakieś w takim razie nieporozumienie... Chociaż nie! — zawołała nagle — teraz sobie już przypominam. Tej nocy istotnie ktoś zadzwonił do drzwi i to bardzo gwałtownie. Pociągnęłam za sznurek i nasłuchuję, by rozpozać kto to wraca? Tymczasem nic... cisza... Pomyślałam sobie wtedy: Acha, znów psi figiel jakiegoś ulicznika. Zrywam się przeto szybko z pościeli, bo przecież dom nie mógł pozostać otworem dla wszystkich z ulicy, wychodzę do przedsionka i cóż widzę?... oto dwa cienie, przy ścianie się czające, które, gdy mnie ujrzały... szast na ulicę!... zamykając mi drzwi przed nosem. Coprędzej drzwi, oczywiście, otworzyłam i wybiegłam na ulicę, by dojrzeć dwie pędem uciekające kobiety w stronę ulicy Varennes.

Lekok po wysłuchaniu tego opowiadania starowiny udał zmartwienie niby, ukłonił się grzecznie i opuścił izdebkę.

— Stało się tak, jak przewidywałem — rzekł do woźnicy — one tutaj nie mieszkają.

Dorożkarz rzucił się gniewnie i chciał już wybuchnąć potokiem słów, lecz Lekok, spojrzawszy na zegarek, nie dopuścił do tego, wołając:

— Już dziewiąta! Spóźniłem się więcej niż o godzinę, ale za to dostarczę nowych wiadomości. Teraz pojedziemy do morgi, bracie, a żywo!

XV.

Dni, które następują po tajemniczych zbrodniach, lub dużych katastrofach, są wielkimi dniami morgi.



Już na 2 tygodnie przed mającym się odbyć jubileuszem 25-lecia panowania królewskiej pary angielskiej ulice Londynu zostały pięknie udekorowane. Na uroczystości rozpoczął się już kolosalny zjazd ze wszystkich zakątków olbrzymiego Imperjum.

Od samego rana służebni tam pracujący, krzątają się żywo wtedy i rzucają żarciki, słuchając których krew krzepnie w żyłach.

— Do naszych stałych, to jest stężałych już, ostygłych gości, przybywać będą dzisiaj goście przychodni, którzy jutro... stałymi naszymi gośćmi się staną.

Tak się działo i w dniu, w którym nasz woźnica wraz z Lekokiem dojeżdżali do morgi.

Przed wejściem ujrzeli tłumy ludzi. Dzienniki obszernie się rozpisały o zbrodni, jaka miała miejsce w szynkowni ciotki Szupe, więc tłum żądny zawsze sensacji, nie omieszkał przybyć, ażeby się przypatrzeć ciałom pomordowanych.

Gdy dorożka znajdowała się na moście jeszcze, Lekok zatrzymał ją, wyskakując na chodnik.

Następnie wyciągając z kieszeni zegarek i woreczek, w te odezwał się słowa:

— Jechaliśmy, mój przyjacielu, godzinę i minut czterdzieści, a zatem jestem ci winien...

— Nic nie jesteś mi pan winien — odpowiedział woźnica stanowczo. — I bez tego jestem wściekły na siebie, że wydałem pieniądze tych ulicznic; gdybym je miał bowiem to bym je z uciechą rzucił w błoto. Niestety, przepiłem je. To też cię proszę, mój młody panie, byś korzystał z mego powozu, dopóty, dopóki nie złapiesz tych dziewek.

Kieszeń Lekoka w tych czasach nie była nazbyt ciężka, to też nie nalegał.

— Zanotowałeś pan dobrze mój numer? — zapytał. — Nazywam się Maciej Motylek, pracuję zaś u pana Trigolt, u którego mieszkam również, bo jestem, widzisz pan, jego wspólnikiem potrochu.

Młody policjant już się oddalał, po uprzejmych pożegnaniach, lecz Maciej Motylek zatrzymał go jeszcze.

— Mówiłeś mi, panie — powiedział — że się spóźniłeś o dobrą coś godzinę. Po wyjściu więc z morgi pospieszysz więc gdzieś zapewne. Wiedz w takim, razie, iż oczekiwać będę na ciebie na tym oto rogu. Jestem Bretończyk, a jako taki mam łeb nieco twardy, to też nie uspokoję się, dopóki nie przejeżdżę z tobą owych trzydziestu franków, które mnie pieką jak rozpalone żelazo.

Byłoby niegodziwością nie przyjmować usług w tej formie zaofiarowanych. To też Lekok dał znak, iż się zgadza i popędził żywo w stronę morgi, do której z trudem się dostał, do tego stopnia było nietylko w niej, ale i przed nią pełno.

W tym ogromnym tłumie, trawionym niezdrową rządzą ciekawości, nie brakowało brzemiennych kobiet, młodych dziewcząt, dzieci nawet.

Młody policjant, gdy się znalazł nakoniec przy ciałach pomordowanych, zaledwie rzucił na nie okiem. Cóż jego obchodzić one mogły?... Szukał wzrokiem natomiast swego Nalewajki, lecz nigdzie nie mógł go się dopatrzeć.

Czyżby Żewrol nie dotrzymał danego słowa?...

W niepewności udał się do nadzorcy trupiarni, ujawniając mu swój stan i nazwisko, a wtedy ten oddał mu list do niego adresowany.

Młody ajent ogromnie zainteresowany rozłamał pieczątkę i czytać zaczął:

— Panie Lekok...

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

SZCZĘŚCIE

Szczęście, to nieziszczalna serc naszych tęsknota,
To wizja nieuchwytna i dziwnie zwodnicza —
Na chwilę cię w blaski swe osnuje, omota,
Uśmiechem rozjaśniając smutne swe oblicze, —
I znów ucieka długą i bezkresną drogą.
A jeśli dogonisz je — i pochwycisz w dłonie,
To niedługo cieszysz się chwilą złudy błogą:
Szczęście — to ognik. Gaśnie, gdy się go dogoni.

Danuta Wyrybkowska.

SZYBKO, DŁUGO I MIŁO

„Brzoza". Dziękuję Pani za miły liścik i oddaję do druku wyjątek z listu Pani:

„Jestem wysoką blondynką o ładnych, niebieskich oczach, mam 19 lat, jestem wysportowana, kocham naturę i mieszkam w ładnej okolicy. Chciałabym korespondować najchętniej z wysokim brunetem. Pragnę mieć przyjaciela przedewszystkiem szlachetnego, o pięknych zaletach ducha i harcie ciała".

Byłabym zapomniała o najważniejszem, mianowicie, że „Brzoza" na listy odpowiada zawsze szybko, długo i miło.

SKREŚLIĆ KILKA SŁÓW

„Amerykanka". Załączony list przesłałam. A teraz zwracam się w imieniu Pani do „Amerykanina", czy nie zechciałby do Pani skreślić kilka słów?

MOŻE NAPISZE?

„Błękitna Pantera" kocha muzykę, przyrodę, taniec i piękne książki powieściowe, a przedewszystkiem miłą i szczerą korespondencję. Bardzo zainteresowała się „Wesołym Broneczkiem", „Strażnikiem granicznym z pod Ghodzieży" i „Delfinem z nad Bałtyku". Może więc który z powyższych Panów napisze do „Błękitnej Pantery"?

UZNANIE I POZDROWIENIA

„Sarenka z Borów Tucholskich" przesyła serdeczne pozdrowienia „Ord-Omowi" i „Idealnemu Sercu", oraz uznanie za wiersze.

Proszę, napisać w wolnej chwili znowu do mnie kilka słów, a przedewszystkiem jak się Pani czuje wśród nas, dobrze?

NIE MOGĘ ZAMIEŚCIĆ...

„Pomorzanka z nad Wisły". Droga Pani, zawsze się staram w miarę możności uczynić zadość prośbom Sympatyków „Krainy", jednakże proszę mi wierzyć, wiersze Pani nie mogę zamieścić. Ani poprzedniego, ani ostatnio przesłanych. Wiersze Pani można nazwać rymowaną prozą, a takich utworów nie drukuje się przecież nigdy, jako wiersze.

Proszę, niech Pani porówna swoje utwory z innemi drukowanemi wierszykami, a zobaczy jaka jest wielka różnica pomiędzy nimi. Jakie tamte posiadają myśli, rytm i rym, a jakie Pani. Mam wrażenie również, że słów mych Pani nie zrozumie źle, bo i tym razem kieruję się życzliwością dla mej starej Sympatyczki.

Pozdrowienia dla p. „Hieronima z Gd." chętnie przekazuję.

WIERSZYKI — SŁABE

„Mała Nuś". Do „Krainy" przyjmuję Cię, „Mała Nusiu" jak najchętniej. Proszę więc, pisuj do mnie śmiało.

Załączone wierszyki są niestety słabe, do druku nie pójdą. Pozdrawiam „Małą Nuś" i przesyłam Jej wiele uścisków.

List wysłałam.

BRAK PSEUDONIMU!

P. Genowefa B., z Pomorza. Bardzo mi miło przyjąć Panią do naszego grona, jednakże sprawę korespondencji pozostawiam do następnego listu, gdyż nie podała Pani swego pseudonimu. Zapewnie przez zapomnienie?

CIESZĘ SIĘ

„Uta z pod Gniezna". Cieszę się, że choć po tak długiej decyzji, napisała Pani do mnie.

Zaliczam Panią bardzo chętnie do naszego grona. Proszę niech się Pani wśród nas czuje swobodnie i w wolnej chwili napisze znowu do mnie kilka miłych słów.

List przesłałam, tak samo odpowiedź dla Pani. Czy korespondencja już zdążyła się pomyślnie rozwinąć?

DOTYCHCZAS NIE WPŁYNĄŁ...

„Ludka". Proszę, niech Pani się nie martwi — liścik wyślemy natychmiast po otrzymaniu adresu, gdyż dotychczas nie wpłynął do redakcji. Odpowiedź również przyrzekam zaraz przekazać.

Za kwiaty i milutki uśmieszek dziękuję najmocniej i przesyłam „Ludce" wzamian dużo uścisków.

PRACOWAĆ I DUŻO CZYTAĆ

Wojciech Fr. Dziękuję gorąco Panu za słowa uznania dla naszego czasopisma, oraz za tak szczere i w pięknych słowach ujęte życzenia na przyszłość. Wierszyk Pana posiada bardzo ładne zdania, jednakże całość jego pozostawia dużo do życzenia. Będzie Pan musiał długo nad sobą pracować i dużo czytać poezji zanim napisze jakiś dobry utwór.

PRAGNĘ SZCZERZE

„Słodka Lili". Bardzo dobrze zrobiła Pani, zwracając się do mnie w swym smutku. Pragnę szczerze wnieść do życie Pani trochę radości, dlatego proszę do mnie zawsze pisać, w każdej samotnej i przykrej chwili.

A teraz podaję kilka słów z listu, w którym zwraca się Pani do „Fata morgany": „Czy „Fata morgana" zechciałby skreślić do mnie kilka słówek? Odwdzięczę mu się z największą przyjemnością miłym liścikiem".

„JESTEM BARDZO ZNUDZONY"

„Podoficer" pisze:

„Jestem bardzo znudzony szarem, żołnierskiem życiem, chciałbym więc korespondować z jakąś bratnią duszyczką"...

Krótki apel, zgodnie z życzeniem zamieściłam w „Krainie", życzę więc powodzenia w przyszłej korespondencji i proszę o przesłanie dokładnego adresu.

Z HUMOREM...

„Parys" zasyła serdeczne pozdrowienia „Bajce" i przedstawia się z humorem:

„Jestem brunetem, średniego wzrostu o ciemnych oczach. Kocham się w śpiewie i tańcu. Jestem również muzykalny: bardzo lubię nakręcać patefon i włączać głośnik do odbiornika radjowego. Usposobienia jestem, aż nadto wesołego. Posiadam średnie wykształcenie. Może więc ktoś z Czytelników lub Czytelniczek nawiąże ze mną korespondencję? Z przyjemnością na każdy list odpowiem".

CHCIAŁBY KORESPONDOWAĆ Z „JAGÓDKĄ"

„Draniulek". Pseudonim — nadzwyczajny, tylko... zbyt dużo mówiący. Mniejsze jednak z tem, gdyż zapewne jest inaczej, prawda?

Sądzę również, że nie odstraszy on „Jagódki", zwłaszcza, gdy się dowie, że „Draniulek" straszDnie kocha przyrodę, jest ciemnym blondynem, lubi muzykę i taniec, oraz chciałby bardzo korespondować z „Jagódką".

POMIMO SZCZERYCH CHĘCI

„Figlarz Borów Tucholskich" przesyła pozdrowienia i śliczne pa! „Pięknej Cygance".

Jednemu z życzeń Pana uczyniłam zadość, jednakże drugiemu, w którym chodzi o wydrukowanie wierszy pomimo szczerych chęci, nie mogę. Przedewszystkiem brak w utworach Pana rytmu, oraz myśli w nich są i banalne i mało wyrobione. Kończąc odpowiedź, dziękuję serdecznie za pocztówkę z pozdrowieniami, którą nam oddał osobiście w redakcji zapewne Kolega Pana?

APEL DO MIESZKAŃCÓW LASU

„Nieszczęśliwa". Pseudonim Pani w pierwszem wydaniu brzmiał nieco dziwnie, więc z trzech słów, dwa końcowe skreśliłam; sądzę, że Pani przychylnie się do tego odniesie.

Do „Krainy" zapraszam Panią jak najchętniej. Będę się bardzo cieszyła, gdy dowiem się w przyszłości, że czuje się Pani dobrze w naszem gronie i mniej odczuwa swoje sieroctwo.

A teraz apeluję do mieszkańców lasu, by zechcieli skreślić parę miłych słówek, do „Nieszczęśliwej", mieszkanki zapadłej wsi, która posiada duszę pełną marzeń, a serce pełne tęsknoty.

DLA KAŻDEGO...

„Smutne Serduszko". Kącik w „Krainie" znajdzie się dla każdego, obawy więc Pani były niepotrzebne.

Prośbę spełniam jak najchętniej i przedstawiam Panią naszemu gronu:

A więc: „Smutne Serduszko" — to 19-letnia szatynka, o ciemno niebieskich oczach i bujnych włosach. Marzeniem Jej, to napotkanie w życiu bratniej duszy.

ŻYWIĘ WIELKĄ NADZIEJĘ

„Zdzież". Obawy, że znudzę się listami Pana, są bezpodstawne. Mam dużo dla Pana życzliwości i współczucia z powodu braku pracy, więc czytam zawsze z zainteresowaniem szczere zwierzenia Pana i podziwiam te zwroty, w których przebija się ogromne umiłowanie pracy i tęsknota za nią. Żywię wielką nadzieję, że gorące pragnienie Pana spełni się prędzej czy później. Życzę z całego serca!

Sprawę prenumeraty i dostarczania „Moich Powieści" załatwiła administracja.

PRAWDOPODOBNIE — NIE!

„Bławatek". Tak, masz rację, Droga Dziewczynko — ogromnie lubię bławatki. Są to bowiem kwiatki bardzo skromne i bardzo ładne.

Dziękuję Ci serdecznie za krótki i śliczny opis znanych nam wspólnie okolic. Nie mogę Ci jednak narazie powiedzieć czy w tym roku tam będę, prawdopodobnie — nie! Pozostaje więc nam dalsza korespondencja, w której sobie od czasu do czasu powiemy kilka ciekawych słów, które nas będą razem interesować.

Listy przekazałam. Na zakończenie przesyłam „Bławatkowi" moc uścisków.

MYŚLĘ, ŻE DOWIEM SIĘ...

„Cicero". Długi list Pana przeczytałam z wielkiem zainteresowaniem. Końcowym pytaniem wprowadził mnie jednak Pan w kłopot. Trudno mi bowiem wydać sąd o opisanej w liście kobiecie, temwięcej, że jak wnioskuję ze słów Pana, posiada ona albo dziwny jakiś charakter, albo też jest próżną i płytką istotą.

Radzę Panu zastanowić się poważnie nad wyborem towarzyszki swego życia. Widzę, że Pan jest głęboko myślącym człowiekiem, a więc zapewnie i trochę psychologiem. Jeżeli więc zauważy Pan, że wspomniana Pani posiada jakieś dobre strony charakteru, niech Pan stara się na nią wpłynąć, porozmawiać i następnie wydać samemu sąd, albo przychylny albo ujemny i zależnie od tego się ustosunkować.

Następnie poruszam sprawę zapatrywań Pana na kobiety. Przedewszystkiem nie powinien Pan, mając jedno smutne doświadczenie poza sobą, zbyt ujemnie uogólniać go na wszystkie kobiety. Proszę mi wierzyć, że kobiet dobrych i uczciwych jest bardzo dużo na świecie, tylko te zwykle pozostawają w ukryciu, bowiem dobroć i skromność nie rzucają się nigdy w oczy. Chciałabym, by słowom moim przyznał Pan kiedyś rację.

A teraz kończę już odpowiedź. Ciekawa jestem, co Pan teraz postanowi? Myślę, że dowiem się o tem już wkrótce?

DZIĘKUJĘ!

„Ogrodnik". Za pozdrowienia i słowa uznania — dziękuję serdecznie, oraz donoszę, że listy zostały zgodnie z życzeniem przekazane adresatkom.

NA KAŻDY LIST

„Rysiek Szczery" czuje się niezwykle osamotniony, ponieważ nie posiada bratniej duszy, któraby czuła i myślała tak, jak on. Obecnem życzeniem jego to poznanie jakiejś miłej i sympatycznej czytelniczki „Moich Powieści".

Sam jest zapalonym miłośnikiem gór i morza — „romantycznym włóczęgą", który nie lubi monotonji, a dla którego życie jest najpiękniejszą poezją.

Przyrzeka wkońcu, że na każdy list da odpowiedź.

MOŻE NASTĘPNE

„Ste - Niusia". Nie, nie nazwałam Pani „nudziarką", ale bardzo uważnie przeczytałam szczery liścik Pani do końca. Tak samo wierszyk. Nie umieszczam go jednak, gdyż posiada dużo usterek. Może następne będą lepsze, proszę więc je przesyłać. Do „Krainy" przyjęłam „Ste - Niusię" z radością i przesyłam jej dużo, bardzo dużo uścisków.

„ŻYJĘ NADZIEJĄ"...

„Podchorążak". Część listu Pana zamieszczam poniżej i mam wrażenie, że w ten sposób nadzieje Pana spełnią się jak najpomyślniej:

„Jestem jasnookim szatynem, idealistą, lat 22, trochę melancholikiem i trochę romantykiem. Obecnie jestem w wojsku i pragnąłbym bardzo, aby znalazł się ktoś, ktoryby mi ozłocił szare dni milutkiemi liścikami.

Żyję nadzieją, że może jakiś liścik zawita do mnie, samotnego podchorążaka".

LEPIEJ NIE!

„Novarro". Dziękuję Panu serdecznie w imieniu naszego wydawnictwa za jednanie nowych abonentów. Załączone wiersze, niestety, są słabe, brak w nich przedewszystkiem rytmu. Wątpię, czy zdoła Pan napisać wiersz w stylu futurystycznym, gdyż jest to dość trudne. Lepiej więc niech Pan nie próbuje.

ODPOWIEDŹ JUŻ BYŁA

„Romantyczna Samarytanka". Żal Pani do mnie jest niesłuszny, gdyż na list dałam już odpowiedź w nr. 11, tak samo Koleżance. Proszę, niech Pani uważnie przejrzy „Krainę", a przekona się, że tak jest. Przesyłam „Romantycznej Samarytance" i Jej Koleżance serdeczne pozdrowienia.

PRAGNĄŁBY...

„Urwis" pragnąłby nawiązać korespondencję z Czytelniczkami „Moich Powieści", w tym celu zwraca się do „Perełki z okolicy Borów Tucholskich" z prośbą o napisanie mu paru słów. Chyba „Perełka" z okolicy Borów Tucholskich" odezwie się?

ZGODA?

„Ryśka D.". Liściki Twoje, Kochana „Rysiu" są coraz to milsze i ciekawsze, a przytem rozbrajające w swej prostocie i humorystycznem ujęciu. Ciekawa jestem zobaczyć Cię na zdjęciu. Zapewne będzie tak miłe, jak listy.

Adresu Sympatyka, o którego Ci chodzi, nie mogę podać, gdyż jest on tylko wyłączną własnością redakcji. Najlepiej będzie, gdy dołączysz liścik z naklejonym znaczkiem, do listu przeznaczonego dla mnie, a ja przekażę go dalej. Zgoda? Chyba tak, przesyłam więc „Rysce" śliczne pa!

WSZYSTKIM SYMPATYKOM

„Czarne Oczko z Jarocina" prosi o przyjęcie do „Krainy" i wyraża chęć nawiązania korespondencji z jakimś miłym chłopcem. Pierwsze załatwiłam bardzo przychylnie, a drugie pozostawiam pamięci wszystkim Sympatykom „Krainy".

Teczka Wujka Janusza

PÓŁTONY

Zapomnieć chcę na zawsze... na wieki,
Chcę cię zapomnieć — kochanie...
Wszystko minęło... skończone!...
Jak sen daleki.
Sądziś chwile z Tobą spędzone,
Jak sen — rozstanie.

Zimowe noce... nasze włóczęgi —
Lunatyczne dale wyiskrzone...
Śnieg... księżyc złoty —
...nieśmiałe pieszczoty,
— łzy w oczach... przysięgi —
wszystko minęło... skończone!
Jak w złudnym śnie
te chwile z śniegiem spłynęły w dal...
Czy jest ci żal?...

— Napewno... nie!
Pocóż? znów może wiosną
z inną przeżyję bajkę miłosną.
Pod słonecznym, wiosennym tchnieniem...
Na śladach nart — kwiaty wyrosną —
przyjdzie zapomnienie...

„Biały Murzyn."

BYŁA W NUMERZE 6!

„Bajka." Odpowiedź na długi i piękny list Pani była w numerze 6 „Moich Powieści", sądzę więc, że jestem zrehabilitowany w oczach „Bajki"?

Tym razem liścik był krótszy, ale wiadomości nie mniej ciekawe i miłe dla mnie od poprzednich. Serdecznie za nie dziękuję, a przedewszystkiem za słowa uznania, skierowane pod moim adresem. Wzruszony bezinteresowną życzliwością „Bajki" ściskam jej maleńką (zapewnie!) rączkę i czekam na ponowny odzew.

KRZYŻ

Spokojnie sobie stoi kędyś na rozstaju
Stary, stary, zmurszały i już przychylony,
Rozłożone ramiona już wieki dźwigają,
A od łez i skarg ludzkich jest tak przygarbiony.

Chrystus prosto ciosany, od deszczu zczerniały,
Codzień w zorzach porannych schodzi z krzyża w dali,
I jest wielki, potężny, jakby zmartwychwstały,
A rana rąk, nóg, boku rubinem się pali.

Kto porankiem złocistym na drogach się zjawi,
I obejmie spojrzeniem krzyż u dróg rozstaju,
Ten zobaczy, że Chrystus pola błogosławi,
Że ciosane ramiona Miłością się stają.

I że wszyscy zmęczeni kamienistą drogą,
Wszyscy biedni, schyleni, z ziemskich szat odarci,
W tych ramionach wieczysty spokój znaleźć mogą,
By tylko przy tym krzyżu stali wierni, zwarci.

Na szarych dróg rozstaju krzyż w ziemię wkopany
Wyciąga ponad pola zesztywniałe ręce —
Na nim Chrystus zczerniały, niezgrabnie ciosany,
Od wieków długich kona — za nas — w strasznej męce.

Maryla Wawrzyńczakówna.

Witaszyce.

RADZĘ PISAĆ PROSTO

„Beata." Do prośby Pani odnoszę się bardzo przychylnie i podaję chętnie ocenę wierszyków Pani. A więc zasadniczym błędem ich to: patos, Rytm i rym jest dobry, tylko za wiele patosu. Proszę, niech Pani stara się pisać prosto, a nigdy się nie sili na górnolotności i kunsztowne porównania, gdyż te wypadają, zwłaszcza u początkujących poetów, zbyt sztucznie, a nawet rażąco. Radzę, jak najwięcej prostoty, a jestem przeświadczony, że wszystko będzie dobrze.

Czekam więc na nową przesyłkę i przesyłam Pani bardzo wiele serdecznych pozdrowień i słowa zachęty do dalszej pracy literackiej.

POZDROWIENIA

„Biała Uajali." List Pani zrobił na mnie bardzo duże wrażenie. Wiersze Pani są bardzo smutne i zbyt osobiste, może więc Pani prześle inne? Będę czekał.

A teraz zasyłam w imieniu „Białej Uajali" tylko pozdrowienia, bo na życzenia już zapóźno: „Kalinie" — „Azie" — „Jadźce z Kujaw" — M. Wawrzyńczakównie — M. Naturskiej — „Słodkiej Psyche" — „Złotemu Promykowi" — „Romkowi Bog-kowi, — „Ord-Omowi" — „Nauczycielowi Pom." — „Zygmuntowi Ordzie."

Dalej „Biała Uajali" przeprasza „Samotnego Roma", gdyż z pewnych tajemniczych powodów nie może pisać, a przedewszystkiem, że los Ją rzucił daleko od Wrześni, dziękuje za pozdrowienia „Złoteńku," prosi „Kozaczka" o skreślenie liściku do Niej, przesyła uznanie dla „Dzinki" za wiersz poświęcony „Ordzie" i pyta, czy „Aza" i M. Zemmlerówna to jedna i ta sama osoba. A więc — nie!

Na zakończenie życzę mej starej Przyjaciółce powodzenia i zadowolenia w pracy w dalekich obcych stronach.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

No, widzicie kochane Czytelniki, co się wyprawia? Śnieg w maju jak pragnę wolności. Ślizgawka na świętego Zygmunta.

Tak się wszystko po wojnie rozpuściło, że nawet w górze porządku już niema.

Narazie jakżem ten nienaturalny śnieg zobaczył, własnym oczom wierzyć nie chciałem i nie dużo się należało, a byłbym z rodzonego szwagra kalekie wstydzącą się żebrać przez to uskutecznił.

A było to tak. W zeszły czwartek wypadli jak raz jemieniny Zygmunta Mioduszewskiego, mojego kuma, któren za żałobnego literata u kamieniarza na Powązkach się zatrudnia i litery na pomnikach młotkiem pisze, no i ma się rozumieć, jak każden artysta gazownik jest odpowiedzialny.

No to więc co, na takie jemieniny miałem nie iść? Wiadoma rzecz, że poszłem i wziąłem z sobą poniekąd szwagra.

Jakżeśmy tam przyśli o siódmej rano, solenizant już był zalany w drobne kaszkie, a także samo ma się rozumieć goście.

Złożyliśmy ze szwagrem serdeczne życzenia, tak jak towarzyski przepis salonowy tego żąda no i zaczęliśmy gazować. Pękło tam ładne parę butelek i anieżeśmy się obejrzeli, jak noc zapadła.

Kiedy widziem, że szkło w ogólności puste, zakąski się skończyli a Mioduszewski Zygmunt śpi pod łóżkiem i nie zamieruje po dalszy gaz posyłać, wyszliśmy na ulicę.

Patrzyć a tu wszędzie biało. Śnieg sypie się nam na łeb, jak pirze z rozdartej pierzyny. Szwagier jak to zobaczył zalał się rzewnemy łzamy i mówi do mnie:

— Walerek, czy ty widzisz co się zrobiło? W maju przyśliśmy na jemieniny, a lutem wychodziem.

Całe lato, jesień i zimę — przeszło dziewięć miesięcy, bez przestanku żeśmy chlali.

Powiedz, jak ten czas przy wódce leci.

I dawaj dalej płakać, że przez ten czas gospodarz go napewno z mieszkania wyrzucił, a moja żona drugi raz zamąż wyszła, bo ja podobnież przepadłem bez wieści. Znakiem tego nie jesteśmy szwagrami, i jako obce ludzie musiem do siebie mówić „panie szanowny."

Ja widzę, że szwagier jest zrobiony na trupa, więc mówię mu:

— Zamknij giembę, trzymaj się mnie pod de pachę mocno, bo w rynsztok łbem wlecisz i mleczne zęby postradasz.

A on na to do mnie, że nie ma życzenia z obcem łachudrą pod rękie chodzić, bo się kompromitacji obawia.

Ma się rozumieć, jakżem to usłyszał, mało mnie krew nie zalała. Jak nie wyrżnę szwagra w ucho z jednej strony, jak nie poprawie z drugiej, jak nie sztuknę w nos... Dopiero do przytomności doszedł i zrozumiał, że to nie luty, tylko taki jakiś pokręcony maj. Wszystko się może nie udać i miesiąc także samo.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę i zaczynamy posuwać się do domu, ale szwagra takie dreszcze złapali, że z ledwością mogłem go utrzymać, tak mnie się trząsł.

Raj kobiet



Dla pracowitych pań

Moda przynosi stale coś nowego — ale jest coś, co zawsze jest modne: haft ręczny jako ozdoba sukienek. Wygląda to bardzo miło i wdzięcznie, a niedrogo kosztuje.

Bardzo praktyczna jest też moda ręcznie robionych sweterków. Pomysłowe panie mogą wykazać tu dużo inwencji, czy to przy wyborze fasonu, ściegu czy też przy doborze włóczek. Dla wygody pań podajemy powyżej parę ładnych modeli:

St 65 136 Bardzo praktyczny i ładny pulower z dużym kołnierzem, imitującym pelerynkę i z rękawami do zdejmowania.

J 65 122 Młodociana sukienka z lnu z krótkiemi, nieco poszerzonemi w ramionach rękawkami. Bluzeczka ozdobiona jest szeroką plisą ręcznego haftu.

J 65 123 Śliczna sukienka woalowa, przybrana haftem angielskim i falbaneczkami.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł, wzory haftu po 0,60 zł za sztukę, przez P. K. O. nr. 209.062.

—o—

10 przykazań małżonki faszystowskiej

Turyński dziennik „La Stampa" przytacza dziesięcioro przykazań, jakie obowiązują kobietę włoską pod rządami faszystowskiemi. Oto, one.

1. Kochaj męża twego nadewszystko; kochaj bliźniego twego, ale pamiętaj, że dom twój jest domem małżonka, a nie twego bliźniego.
2. Traktuj męża twego jako cennego gościa, jako drogiego przyjaciela, a nie jako przyjaciółkę, której zwierzasz się z drobnych trosk.
3. Niechaj dom twój będzie w porządku, a twarz twoja radosna na jego przyjęcie. Gdyby tego odrazu nie spostrzegł, wybacz mu to.
4. Nie wymagaj od niego zbyt wiele dla domu. Wymagaj tylko, by mieszkanie było pogodne, by miało trochę wolnej przestrzeni i spokój dla dzieci.
5. Niechaj dzieci twoje będą zawsze czyściutkie i świeże i ty także bądź czysta i świeża. Niech myśli o was z uśmiechem wtedy, gdy was nie widzi.
6. Pamiętaj, że poślubiłaś go na dobrą, czy złą dolę. Podaj mu dłoń, gdy inni go opuszczą.
7. Jeżeli mąż twój ma jeszcze matkę, pamiętaj, że nie możesz być nazbyt dobra i miła dla tej, która go piastowała w swych ramionach.
8. Nie wymagaj od życia zbyt wiele: jeżeli jesteś pożyteczna, bądź temsamem szczęśliwa.
9. Gdy spotka cię nieszczęście, nie trać nadziei. Wierz w twego męża, on będzie miał odwagę za dwoje.
10. Gdy mąż oddali się od ciebie, czekaj na niego. Gdy cię porzuci, czekaj na niego również. Bo jesteś nietylko jego żoną, ale także honorem jego nazwiska. Przyjdzie dzień, gdy powróci do ciebie, błogosławiąc cię.

Tak brzmią przykazania dla żon. A jak dla mężów? Weale. O tych nie pomyślano.

Patrzę dopiero jak jest ubrany i widzę, że faktycznie ciepło mu być nie może, bo ma na sobie smoking, wykładane koszule Słowackiego, pepegi i słomiany kapelusz. Spojrzałem na siebie, takżesamo jestem do figury, w jasnem garniturze, tylko miałem te przytomność umysłu, że założyłem białe getry.

Ale i mnie pomalutku dreszcze zaczynają łapać. Stojemy tak na ulicy, śnieg się nam za kołnierze ładuje i myślemy kto temu winien.

Wiadomo, że Pim, przecież wyraźnie ogłaszał, że napływają fale gorącego powietrza i trzeba się spodziewać upału, dlatego szwagier założył słomiany kapelusz, a ja jasny garnitur.

Taka nas złość złapała na tego Pima, że uchwaliliśmy iść do niego i zrobić facetowi większą grandę, za narażanie ludzi na koklusz.

Ale ponieważ, że nie wiedzieliśmy, gdzie on mieszka, wstąpiliśmy do komisarjatu, żeby się dowiedzieć o adres.

I co państwo powiecie na to? Adresu nam nie dali, jeszcze nas z miejsca przymkli na dwa dni!

Czy to jest w porządku? Jakto? O wiele mnie węglarz na wadze oszuka, albo miału sprzeda za średni orzech, to się go pod sprawiedliwość podciąga, a jak taki w barometryczny wyż gradobiciem szarpany Pim, zdrowie mnie odbiera to mu za to nic?!

Tak dłużej być nie może, trzeba z tem zrobić porządek!

ŚWIAT I ŻYCIE

Wśród osadnictwa polskiego i niemieckiego

W dorzeczu rzeki Ivai długą linją rozsiadło się polskie osadnictwo, 25 lat, dzielnie walczące z obcą naturą, karczując gąszcz brazylijskich puszcz, pod złotokłosą pszenicę orząc, jak w starej ojczyźnie urodzajną glebę. Kiepską drogą posuwamy się w kierunku miasta Pont - Grossy, stolicy wyżynnych stepów.

Krajobraz zmienia się co kilkadziesiąt kilometrów, a zarazem widać zgoła odmienne warunki życia. Od głębokich lasów, wśród których o tej porze czernieją plamy wypalenisk pod kukurydzę i złoci się tu i owdzie pólko zrudziałej od suszy pszenicy, ciągnie kręta droga ku stepowym wyżynom, na których drobne stada bydła skubią zeschłą, szczecinowatą trawę. Coraz mniej zagród drewnianych z nierogacizną, coraz więcej drucianych płotów przy pastwiskach; w miejsce wspaniałej korony cedrowych drzew, dominuje nad łysiną stepu rozłożysty „lichtarz" pinjora. Z nad czterystu metrów poziomu wspinamy się raptownie ku tysiącowi, a w oczy dmie zimny wiatr stepowy, gość nad brzegami Ivai nieznany. Na zachód od P. Grossy wzdłuż linji kolejowej kraj wyżynny, szeroka droga umajona herwą i zdobna w pinjory. Po zagajnikach herwowych, o tej porze pasie się chude bydło i nędzne klacze w towarzystwie ryczącego niemiłosiernie osła rozpłodowego. Pszenica tu jeszcze zielona, żyto w niskich półkopkach, a do wzgórków przyczepione linje rzędów kartofli, pożółkłe od suszy. Okręg to kartoflany — Orati, ale w tym roku nie będzie z tego pociechy. Coraz więcej wzdłuż drogi murowanych domków, pozostałość z dobrych czasów — herwowych, jako pamiątka z okresu dobrobytu. Rolnik polski coraz częściej zmusza glebę do rodzenia krając ją pługiem i tęsknie spogląda na zachód ku borom. Tutaj trzyma go jeszcze linja kolejowa.

Zbliżamy się ku okręgowi Marechal Mallet. Tartaki, winnice, zboże i gdzieniegdzie kawał stepu. Ciągną się tu długie łańcuchy starych osad polskich, przeplatane ruskiemi. Na pagórkach już nie widać lasów, zarośla (kapoery) niskie, często widać palone, lecz o urodzajności gleby świadczą jeszcze giętkie wiechy trzciny (takuary) chwiejące się nad rzekami. Domki schludne, tu i ówdzie ogródek z kwiatami, nieco warzyw a mało świń. Kukurydzę na spaleniskach, już trzeba plewić, bo zarasta ciężkim chwastem. Dalej na południe, ku osadom św. Mateusza coraz mniej pól uprawnych, coraz częstsze lasy herbowe, stanowiące obszerne latyfundja wczorajszych magnatów.

Pobrzeże Rio Negro wzdłuż granicy parańskiej obsiadło stare osadnictwo polskie i niemieckie. Charakter gospodarstw wykazuje dostatecznie różnicę między Polakiem-pionerem i Niemcem-ogrodnikiem.

Bita szosa wiedzie tu wśród gór gęsto zalesionych o ciężkiej wilgoci a dołem rozsiadły się chaty osadników z przed pół wieku. Droga jest zasługą niemieckiej administracji stanowej, jak również miasteczka, schludne, jakieś tropikalne Kartuzy czy Wejherowo... ale polską zasługą są wytrzebione z lasu połacie uprawnej na zboczach gór ziemi. Domki polskie drewniane dwuizbowe, podwórka zanieczyszczone przez świnie, w kuchni zawsze gotowa do poczęstunku trzcinówka swojej roboty.

Domki niemieckich osadników grupują się przy samych miasteczkach. Są przeważnie murowane (pruski mur) i tonące w kwiatach duże ogrody warzywne, mniej wypalenisk wśród lasu, pólka ryżowe, sady obfite i hodowle mlekodajnego bydła. W miasteczkach przetwórnie produktów rolnych, przeważnie serownie. Mało świń i niewiele kukurydzy, dużo trzciny cukrowej i zbóż.

Coraz częściej spotyka się miasteczka oświetlone elektrycznemi lampami i warsztaty pędzone tą siłą, dostarczaną przez górskie potoki. Im bliżej zwartych osad polskich, tem szerszy staje się horyzont a uboższe chaty, zaś bliżej miasteczek i Niemców horyzont się zwęża, a zato bywa coraz symetryczniej obsadzony, ozdobiony ogródkami i murowanemi domkami.

—o—

Co słychać w polityce?

Sytuacja europejska zdąża powoli ku wyjaśnieniu. Napięcie wywołane ostatnio zbrojeniami Niemiec znajdować poczyna swą przeciwwagę moralną w coraz wyraźniej zarysowującym się prądzie antyniemieckim w opinji międzynarodowej oraz realną w płaszczyźnie podstawowych posunięć polityczych.

Do moralnego *potępienia Niemiec przez Ligę Narodów*, którego znaczenia niewolno wprawdzie przeceniać, ale błędem byłoby również niedocenianie go, dołączyły się ostatnio niarodajne oświadczenia polityków angielskich, stanowiące ostrzegawcze memento pod adresem zbro jących się w tempie coraz gwałtowniejszem Niemiec.

Takiem ostrzeżeniem był artykuł Mac Donalda w News Letter, rzecz zrozumiała, wywołał w Niemczech oburzenie i rozczarowanie. Ten, od wielu lat przekonany germanofil, który nawet w czasie wojny znalazł słowa obrony dla Niemiec, a po wojnie doszedłszy do władzy, konsekwentnie przeciwstawiał się każdej zdecydowanej polityce, mającej na celu okiełznanie budzącego się „furror teutonicus" pod wpływem faktów, dokonywujących się w Berlinie, dochodzi do gruntownej rewizji dotychczasowych podstaw swej polityki.

Po *„Białej Księdze"* i mowie Baldwina artykuł Mac Donalda jest trzeciem jasnem, i wyraźnem ostrzeżeniem Niemiec. Polityka angielska nie chce jeszcze wyrzec się ostatecznie dotychczasowej linji. Ale poważnie ostrzega. Idzie o to, czy Berlin ostrzeżenie to zrozumie.

Czwarte ostrzeżenie padło na czwartkowem posiedzeniu izby gmin, — sformułowane w sposób dyplomatyczny, ale tem niemniej wyraźny przez Mac Donalda, a podkreślone dobitnie w wystąpieniu Churchilla i innych mówców.

Podkreśliwszy na wstępie znaczenie zaleceń zawartych w protokóle londyńskim, Mac Donald wyraził ubolewanie, *że rząd Rzeszy* po wyrażeniu zgody na wszczęcie dyskusji nad praktyczną realizacją tych zaleceń, przystąpił prawie jednocześnie do zwiększenia swych sił zbrojnych. Pokojowe dążenia państw europejskich stwierdza dalej premjer angielski, zostały poważnie podkopane ostatniemi oświadczeniami rządu Rzeszy o tworzeniu lądowej, morskiej i lotniczej siły Niemiec. Odpowiedzialność Niemiec za obecny stan rzeczy w Europie została więc wyraźnie sprecyzowana.

Język dyplomacji, a zwłaszcza język dyplomacji angielskiej, jest językiem specjalnym. Gdy angielscy mężowie stanu mówią na jakiś temat, truizmy i komunały to rzadko dzieje się to dlatego, że nie mają swym słuchaczom nic innego do powiedzenia. Przeważnie tylko nie chcą nic powiedzieć. Europa zdumiewa się nad beztroską i brakiem znajomości rzeczy ze strony polityków angielskich — a polityka angielska pocichu robi tymczasem swoje, nie zdradzając nawet tych planów, które w najbliższym czasie będą zrealizowane.

Programowe mowy bez konsekwencyj nie są w Anglji znane, ale gdy angielscy mężowie stanu zaczynają przemawiać jasno i wyraźnie, to konsekwencje tego przeważnie nie dają na siebie czekać. Czasami już są.

Niemcy przeżywają w polityce zagranicznej smutne rozczarowanie. Zawiodły je Włochy. Zawodzi Polska. Po głosowaniu genewskiem i przed konferencją rzymską, w której udział Polski nie ulega już wątpliwości, konstatuje to melancholijnie prasa niemiecka, zaczynają rozumieć w Berlinie, że świeża przyjaźń polsko-niemiecka ma swą naturalną granicę tam, gdzie zaczyna się zagrożenie sojuszu polsko - francuskiego. No i tam, gdzie wchodzą w grę własne interesy Państwa Polskiego.

Obecnie zaczyna usuwać się spod nóg najważniejsza podstawa wszystkich planów niemieckich: zgoda z Anglją. Wykład polityki niemieckiej, którym zamiast rozmowy uraczył Hitler zdumionych anglików w Berlinie, wywołał skutek wręcz odwrotny od zamierzonego. Gdyby to nie był mówił wszechwładny pan wielkiego narodu, nie wzięto by prawdopodobnie wynurzeń jego w Londynie na serjo. Słowa Führera mają jednak swoją wagę. A więc Anglja ostrzega. Ostrzega coraz wyraźniej i natarczywiej. A gdy Anglja tak ostrzega, to zazwyczaj przygotowuje już fakty.

Niemcy są rozczarowane. Z właściwym sobie „manque de psychologie" szukają winy wszędzie — tylko nie u siebie. Nie są wstanie wczuć się w sposób myślenia innych narodów, nie są wstanie pojąć, że wielkie plany ich wodza nie wywołują entuzjazmu wśród innych narodów, zwłaszcza wśród tych Herrenvölker, do których zaliczają i Anglję. Doktryna polityczna wciąż jeszcze przeważa nad realizmem. Program zawarty w „Mein Kampf" stoi niewzruszony.

Ostrzeżenia angielskie przechodzą w Berlinie bez widocznego efektu. Tembardziej jest ważne, aby wzięto je pilnie pod uwagę — gdzieindziej.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 12. V. do 18. V. 1935 r.

Niedziela, dnia 12 maja 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.30 Transmisja Nabożeństwa. Po nabożeństwie muzyka z płyt 12.05 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Filharmonji Warszawskiej. W przerwie około godz. 13.00—13.15: słuchowisko 14.00 Muzyka salonowa i wesołe piosenki (płyty) 15.00 „Hodowla zarodowa wobec nowej ustawy" — pogadanka rolnicza 15.15 Wiązanka piosenek żołnierskich 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych" 15.35 Utwory na klarnet 15.45 „Co słychać na Podlasiu" — pogadanka 16.00 Muzyka lekka 16.40 „Felek" — fragment z powieści 17.00 Koncert 17.40 „Jak Pan Wojciech podszedł ptaszki, — opowiadanie dla dzieci młodszych 17.50 „Zdejmijmy czarne okulary" — pogadanka 18.00 Koncert 18.45 „Zycie młodzieży" 19.08 Wiadomości sportowe lokalne 19.13 Muzyka lekka (płyty) 19.40 „Zielona Styrja" — feljeton 20.00 Koncert z udziałem Wandy Wermińskiej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 „Co czytać" (szkic literacki) 21.45 Wiedeńskie walczyki 22.15 Stylizowana muzyka góralska 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 13 maja 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 8.05 Audycja dla poborowych 12.05 Zespół salonowy 12.45 „Prasowanie bielizny" — pogadanka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.05 Koncert solistów 15.45 Fragmenty ze znanych symfonij (płyty) 16.30 Lekcja języka niemieckiego 16.45 „Kwadrans słynnych artystów" (płyty) 17.00 „Gronie nase, gronie, hej...!" — pogadanka krajoznawcza dla dzieci 17.15 Ogólnopolska rezerwa 18.00 Przegląd filmowy 18.10 Pieśni łotewskie 18.25 Chwilka społeczna 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 „Król jazzu" (płyty) 19.15 „Skrzynka rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Audycja strzelecka 20.00 Audycja słowacka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce". 21.00 Koncert z Filharmonji Warszawskiej 22.15 Muzyka lekka i taneczna 23.05 Dalszy ciąg muzyki lekkiej i tanecznej.

Wtorek, dnia 14 maja 1935 r.

6,30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 8.05 Audycja dla poborowych 12.05 Koncert (płyty) 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.05 Kwartet smyczkowy 13.40 Utwory na harmonję 13.50 „Z rynku pracy 15.45 Koncert 16.30 „Jak się Jędruś wybrał w szeroki świat — opowiadanie dla dzieci młodszych 16.45 Kwadrans słynnych artystów (płyty) 17.00 „Skrzynka P. K. O." 17.15 Recital fortepianowy 17.50 Bieżące zagadnienia spółdzielni rolniczych — pogadanka społeczna 18.00 Arje i pieśni 18.15 Fragment teatralny 18.45 Muzyka salonowa 19 15 Wiadomości rolnicze 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Utwory na organy 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Słynne apokryfy muzyczne 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 „Główna wygrana". Operetka Hausmana 22.30 Młodzieńcza miłość mieszczańskiego króla (Ludwika Filipa) — wygł. Paula Lamowa 22.45 Muzyka taneczna (płyty) 23.05 Muzyka taneczna (płyty).

Środa, dnia 15 maja 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 8.05 Audycja dla poborowych 12.05 Arje operowe (płyty) 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.05 Koncert Zespołu Wileńskiej Orkiestry Salonowej 15.45 Koncert 16.30 „Co się dzieje na froncie spraw kobiecych" — odczyt dla kobiet 16.45 „Kwadrans słynnych artystów" 17.00 „Zdobycze współczesnej zoologji" Odczyt 17.15 „Muzyka współczesna dla niedowiarków" 17.50 „Polska dzisiejsza" odczyt — wygł. Jalu Kurek 18.00 Pieśń 18.15 Wesoły skecz 18.30 Skrzynka techniczna 18.45 „Same mazury" (płyty) 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Utwory (płyty) 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Fragment operowy 20.15 Audycja literacka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 „Londyn z drugiej połowy XVII w. w oczach polskiego szlachcica" 21.40 Koncert skrzypcowy 22.15 Pieśni filareckie 22.35 Muzyka salonowa.

Czwartek, dnia 16 maja 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 8.05 Audycja dla poborowych 12.05 Audycja dla szkół: „Święto pieśni w Radjo" 12.30 Koncert szkolny z Filharmonji Warszawskiej. W przerwie o godz. 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Dziennik południowy 13.15 Dalszy ciąg koncertu szkolnego z Filharm. Warszawskiej 13.50 „Z rynku pracy" 15.45 Godzina pogodnej muzyki klasycznej 16.30 Pogadanka w języku francuskim 16.45 Kwadrans słynnych artystów płyty 17.00 Reportaż „Dzień razem z pilotem parterowym w Gdyni" 17.15 Recital fortepianowy 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Piętnaście minut na gitarze 18.15 „Zawód literacki a służba społeczna" — szkic literacki 18.30 „Skrzynka ogólna" 18.40 „Zycie kulturalne i artystyczne stolicy" 18.45 Zapomniane przeboje (płyty) 19.15 Wiadomości rolnicze 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 „Toruń w pieśni ludowej" — krótki koncert 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „A to państwo znacie? — No to posłuchajcie" Radjowa wiązanka melodyj z udziałem chóru Juranda 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Teatr Wyobraźni 21.30 Sekstet smyczkowy 22.15 „W krainie pięknych głosów" (płyty) 22.40 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 17 maja 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 8.05 Audycja dla poborowych 12.05 Arje operowe (płyty) 12.50 Chwilka dla kobiet 12 55 Dziennik południowy 13.05 Muzyka ludowa 13.30 Trio fortepianowe 15.45 Orkiestra Straży Więziennej 16.30 „Chwilka pytań" 16.45 Kwadrans słynnych artystów (płyty) 17.00 „Dyskutujmy o instynkcie macierzyńskim — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.40 Audycja dla chorych 18.10 Teatr Wyobraźni 18.45 Piosenki w wyk. chóru Juranda (płyty) 19 15 „Skrzynka rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Jak spędzić święto?" 20.05 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symf. z Filharmonji Warszawskiej. W przerwie Dziennik wieczorny 22.30 „Współczesna poezja litewska" 22.45 Odczyt 23.05 Muzyka taneczna (płyty).

Sobota, dnia 18 maja 1935 r.

6 00 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 8 05 Audycja dla poborowych 10.00 Audycja ku uczczeniu „Dnia Dobrej Woli" 12.05 Koncert 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.05 Koncert solistów 13.50 „Nasz handel morski" 14 45 Muzyka z płyt 15.30 Fragment z powieści E. Orzeszkowej 15.40 Muzyka lekka 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Koncert 17.00 Transmisja Nabożeństwa Majowego z Kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie 17.50 „Foka" — pogadanka przyrodnicza 18.00 Słuchowisko dla dzieci p. t. „Narodziny świetlika" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Piosenki w wykonaniu Jana Kiepury (płyty) 19.15 „Przegląd prasy rolniczej krajowej i zagranicznej" 19 25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Krótki recital fortepianowy 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Pokucie" folklorystyczny koncert huculski 20.30 „Szkatułki grające i pozytywne w muzyce" (płyty) 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.00 Koncert symfoniczny 22.15 „Stary człowiek z przed ćwierćwiecza" — szkic literacki 22.30 „Na wesołej lwowskiej fali" 23.05 Muzyka salonowo-taneczna.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W. P. L. Zorawowicz — Mołodeczno. Nagrodę wyślemy w tych dniach. Wybór książek należy do redakcji, więc życzenie Pana prawdopodobnie nie będzie spełnione. Z nadesłanych zadań skorzystamy. Może Pan znowu coś nadeśle w przyszłości? Prosimy.

Cieszy nas niewymownie zorganizowane kółko Sympatyków „Moich Powieści". Wszystkim Członkom Redakcja przesyła serdeczne pozdrowienia, a pomysłowemu Inicjatorowi uznanie i wyrazy sympatji.

W. P. W. Grzegorek — Jasienica. Nadesłane bilety są dobre. Dziękujemy!

W. P. B. Gabisiowa — Mogilno. Tym razem nagroda nie przypadła Pani, jednakże radzimy się tem nie zrażać i dalej przysyłać rozwiązania. Napewno zostanie i Pani kiedyś wyróżniona. Łączymy pozdrowienia i wyrazy szacunku.

„Rozżalona Czytelniczka z Pniew". Nr. kwietniowy, o który Pani chodzi, wypadł z powodu przenoszenia naszej drukarni do nowego budynku, uwiadomiliśmy o tem Czytelników w nr. 14.

Jako rekompensatę za to, damy w maju numer „Moich Powieści" o podwójnej objętości.

Czytajcie i rozpowszechniajcie „MOJE POWIEŚCI"

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

35)

Wesoła, wolna od trosk młodość pani nie miała jeszcze sposobności poznać ciemnych głębi życia, przepaści, po których brzegu stąpała pewnym, lekkim krokiem! Chciałabym dlatego spostrzec panią przed tem, abyś nie była zmuszoną pewnego pięknego poranku ujrzeć nagle kształty odwrotnej strony życiowej! Proszę mnie posłuchać, Lolu!"

„Co za uroczysty wstęp, Kazimierzu!" zawołało młode, piękne dziewczę, kierując swoje ciemne fosforyczne oczy wprost w twarz młodego hrabiego, tak, że ten mimowoli spuścił powieki, nie mogąc wytrzymać ognia zawartego w tem spojrzeniu.

„Czy tak zaczyna się wyznanie miłosne? Sądziłam, że usłyszę z pańskich ust gorące słowa miłości, — słowa mające rozbudzić uśpione uczucia w mej piersi, — rozniecić wiosnę w sercach naszych, — tak, taką piękną wiosnę, jaka rozwija się właśnie w naturze! O, Kazimierzu, kilka słów wystarczy a potrafisz rozbudzić w mem sercu tę piękną porę roku!"

„Wiosnę?" wymówił z trudem młody mężczyzna; „o nie, Lolu, wiosna miłości przeszła już, — liście poopadały z drzew, — te ciepłe powiewy nowej pory roku one nie dla mnie, — w mojem sercu już zima!"

„Niechże więc pan pozwoli, abym ja stała się tem słońcem, które ma roztopić lody pańskiej piersi, które ma wlać nowe życie do pańskiego jestestwa!" zawołała Lola, podnosząc się.

Szybkim ruchem, tak, że Kazimierz nie był w stanie przeszkodzić temu, zarzuciła mu obie ręce na szyję. Uczuł tuż przy sobie jej oddech, jej bicie serca, jej falującą pierś opierającą się na jego piersi.

„Kazimierzu!" zawołała Lola, pokrywając się wstydliwym rumieńcem szkarłatu, „Kazimierzu, pan nie przeczuwasz ile ja wskutek pana wycierpiałam. Tak cierpieć może tylko kobieta, — miłość tęskniąca do swego ideału! — Ja tylko, ja sama dzień i noc wypraszałam u mego ojca, aby się wstawił za panem, aby nie zapomniał pańskiej sprawy, aby się nią zajął gorliwie, aby jak najprędzej wyszła na jaw twoja niewinność. W czasie, kiedy jeszcze złowroga noc roztaczała się koło twej głowy, — ach, ileż ja łez wylałam, — całe noce przepłakałam nad twym losem, — jak gorąco błagałam Boga, aby roztworzył bramy twego więzienia, uwolnił cię, abym cię mogła przycisnąć do mej piersi i wyznać jak cię szalenie kocham, — jak pragnę połączyć się z tobą!"

„Lolu, na miłość Boga, — co to ma znaczyć?"

„To ma znaczyć", mówiła dalej ze wzrastającem uniesieniem", że ja cię kocham, jak jeszcze nikt inny nie ukochał cię w życiu, że pragnę gorąco zostać twoją małżonką! Noszę twój obraz w sercu, on wrósł mi tak głęboko, — wierzaj mi, bo nie przesadzam, — tak, głęboko, że nic w świecie nie potrafi mi go wydrzeć z duszy! — Drżałam już na myśl naszego połączenia, — pragnęłam go tak gorąco, że chyba bym umarła, gdyby ono nie przyszło do skutku! — Ale oto teraz nadeszła ta szczęśliwa chwila, Kazimierzu! — Wreszcie urzeczywistniło się moje marzenie! — Teraz należysz tylko do mnie, — związanyś ze mną własnem twem słowem, — świętą przysięgą twego umierającego ojca! — Niedługo sprawimy wesele, — zaprowadzisz mnie do swego domu, — ja będę twoją, — twoją wyłączną własnością. — Przysięgam ci, że będę ci zawsze wierną, poddaną małżonką, — że otoczę cię całą pełnią miłości i poświęcenia! Każde życzenie twoje będę się starała wyczytać ci z oczu, bo ja cię kocham, — kocham, — kocham!"

Powtórnie uścisnęła go za szyję swemi miękkiemi ramionami. — Kazimierz nie miał czasu nawet przeszkodzić, bo już spoczął jej gorący, rozpalony pocałunek na jego ustach, — pocałunek, który go przeraził prawie, tyle namiętności było w nim zawartej, tyle ognia, jaki rzadko tylko mieszka w piersi dziewczęcej.

Spłynęło to tak nagle, tak silnie na Kazimierza jak jaki sen uroczy, jak mocny zapach kwiatów, jak powiew letni wśród zamieci zimowej. W tej chwili rozebrała go niemal gorączka, już chciał upaść do stóp pięknej kusicielki, objąć ją za kolana, przycisnąć z ogniem do siebie, wpić się ustami w jej wdzięki!

Ale otwarłszy oczy i spojrzawszy w twarz Loli przebudził się. To nie był ten sam czysty, dziewiczy wzrok, jaki się zwierciedlił w panieńskich oczach Anieli. To były oczy, — dziwna rzecz, sam sobie nie umiał tego wytłumaczyć, — ale one tak silnie przypominały mu ową szpieg-kobietę, która go podstępem podeszła w zakładzie doktora Morizano, — oczy tej pięknej, pełnej, czarnowłosej kobiety, która zbliżyła się potem do niego przebrana jako zakonnica. — Ona również pożądała go, — i ona patrzyła tem dzikiem, namiętnem, fosforycznem spojrzeniem na niego, — o te spojrzenia wbiły mu się dobrze w pamięć, — formalnie odczuwał odrazę do tego wzroku, — te oczy odtrącały go niemal od siebie!

Prędkim ruchem uwolnił się z objęć hrabianki.

„Proszę bardzo, niech mnie pani posłucha, panno Lolu!" odezwał się zimnym, suchym głosem, który formalny kontrast stanowił z ciepłą namiętną mową pięknego czarnowłosego dziewczęcia.

„Dopiero przed chwilą złożyłaś pani pocałunek na moich ustach, — to ostatni, o Lolu, jaki w tem życiu zamieniliśmy ze sobą."

„Ostatni pocałunek?" krzyknęła Lola, odstępując przy tych słowach o parę kroków wstecz, jakby uciekając przed tym niemiłym wyrokiem. „Kazimierzu, my stoimy dopiero u wejścia do raju słodyczy i rozkoszy, u początku całego pasma uroczych pieszczot, — a ty mówisz już o końcu, — o ostatnim pocałunku? Ostatni wycisnę na twoje usta dopiero w godzinę śmierci mojej lub jeżeli ty prędzej jak ja pożegnasz ten świat, bo wcześniej nie rozłączymy się przecież od siebie!"

„Moje serce krwawi się, hrabianko, że muszę wyrwać te iluzje z pani umysłu. Tak, to iluzje, delikatne, kolorowe kwiatki, które giną jak tylko pierwszy szron na nie spadnie! — Lolu, ja zaręczyłem się z panią, bo to było życzeniem mego ojca, a nie chciałem umierającemu rabować spokoju słodkiej śmierci. Liczyłem jednak przytem na to, że pani mnie rozwiąże z tego tymczasowego przyrzeczenia, jak tylko pani usłyszy nieszczęsną historję mego życia!"

Twarz Loli stała się blada jak u trupa, — zadrżała na całem ciele, słysząc te słowa. Oparła się białą zgrabną ręką na poręczy krzesła, które tuż obok nich stało.

Kazimierz spostrzegł jak jej okrągła, pełna pierś falowała mocno pod czarną zasłoną, — oddychała ciężko; — nie chciała uwierzyć w to, co słyszała.

Stanowcze słowo padło jednak i to ulżyło Kazimierzowi, jakby mu kto centnarowy ciężar zdjął z piersi. Teraz postanowił wszystko wypowiedzieć, wyznać wszystko Loli.

„Że pani mnie kocha, napełnia mnie to tylko dumą! Być kochanym przez tak zacną, szlachetną dziewczynę i być od niej pożądanym za męża, któremuż mężczyźnie nie przyniosłoby to zaszczytu, chwały. Niestety nie mogę odwzajemnić się tem samem uczuciem, jakie mi pani przynosi w darze, — nie mogę z tej prostej przyczyny, bom to piękne, święte uczucie miłości oddał już innej, — a oddałem je tak silnie i stanowczo, że i śmierć sama nie potrafi mi go zwrócić! Lolu, ja pokochałem inną! — Ach, gdyby ona mogła teraz właśnie stanąć u mojego boku, — przekonany jestem, że ze łzami współczucia oddałaby mi pani w tej chwili moje słowo. Ale niestety niema jej tu, — dlatego będę próbował opisać ją pani choć w kilku słowy. A więc, kocham dziewczę, panno hrabianko, które co do piękności nie może się porównać z panią; ale i ona wyposażona przez naturę we wszystkie wdzięki, jakie przyroda w tak hojnej mierze sypie na swe delikatne kwiaty! Najwznioślejsze, najcudowniejsze u niej, to jej zacne, czyste jak łza, dziewczęce serce! — To serce pozyskało moje zaufanie, — serce to bije tylko dla mnie tak bezinteresownie, tak radośnie, że nie potrafiłbym wydrzeć, odmówić mu tego, co mu Bóg przeznaczył, — darował! — Nie, Lolu, pani także nie stanie mu w poprzek! — Postąpiłbym nieszlachetnie, musiałbym się wstydzić przed panią, sama pani nie potrafiłaby mnie kochać, gdyby się pani dowiedziała, żem innej złamał wiarę!"

Lola podniosła głowę, — w jej ciemnych oczach zabłysło złowrogo, — chciała odpowiedzieć, ale Kazimierz porwany zapałem nie przypuścił jej do słowa, począł dalej mówić z ciepłem, z prośbą, z pokorą.

„Lolu, pani nie uczyni temu dziewczęciu krzywdy, nie zrobi jej nieszczęśliwą, bo ja pani zaręczam, że ta biedna nikogo zresztą nie ma na całym, wielkim świecie jak tylko mnie! To sie-

rota, — opuszczona od wszystkich ludzi, — bez ojczyzny, — biedna, do tego, podczas gdy pani obsypana wszelkiemi ziemskiemi dobrami, jakich tylko młoda istota zażądać zdolna! — Proszę sobie przedstawić, że ta biedna sierota przychodzi do pani drzwi, — puka, prosząc o jałmużnę, — czyż odmówi jej pani daru? Ta nieszczęśliwa mówi przez moje usta do pani: Ja ci wszystko oddam i te ostatnie szaty zdejmę ze siebie i dam ci, — z chęcią zostanę ostatnią, najpodlejszą żebraczką, — ale jedno tylko daj mi w zamian, — daj mi jego serce, — nie zabieraj mi go!

„Lolu, oto słowa, jakiemi ta nieznajoma, nieobecna przemawia w tej chwili do pani! Niema jej tutaj, — przeto muszę być jej obrońcą, — tem samem jestem i swoim adwokatem! Bo widzi pani, całą siłą tego dziewczęcia to jej miłość! Ja również, Lolu, ja nie mógłbym być szczęśliwym przy boku innej, — ani minuty szczęścia nie potrafiłbym zakosztować! A wie pani, czem jest małżeństwo bez miłości? To piekło na ziemi, — to najstraszniejszy los, jaki może spaść na człowieka! — Codziennie się widywać, — codziennie być zmuszonym odgrywać komedję, kłamać przywiązanie przed obcą sercu osobą, a w duszy nosić obraz innej drogiej istoty; — nie umiem sobie nawet przedstawić czegoś podobnego, — taki stan na dłuższy czas to męka, — nie chcę nawet myśleć o tem! Zaiste, to mi się zdaje nieprawdopodobnem, małżeństwo, w którem pani, panno Lolu, mogłabyś odgrywać taką smutną rolę! Otóż powiedziałem pani wszystko, — obecnie leży mój los w pani rękach. Obiecałem memu ojcu pojąć panią za małżonkę w takim razie, jeżeli pani sama zażąda tego! Ale po tem, co pani słyszała ode mnie, nie może się pani więcej domagać! Nie, to niemożebne, aby pani pomimo tego chciała, abym ją poprowadził do ołtarza!

„A teraz, Lolu, proszę pozwolić, że zawołam ojca pani, aby się dowiedział, żeśmy się nie w złości, przeciwnie w zgodzie i przyjaźni szlachetnej rozłączyli, — w przyjaźni, która wyżej stoi, jak miłość, jakaby nas połączyć była zdolna, — bo o prawdziwej miłości nie może być mowy!"

Drżąc od wzruszenia stanął Kazimierz przed Lolą. Odkrył jej najboleśniejszą tajemnicę swego życia. Całe miłością przepełnione serce wlał w pokorną prośbę swoją, całą skrwawioną duszę. — Mogłoż się stać, — byłożby to możliwem, aby nie wymówiła zbawczego słowa?

Jak słup, bez ruchu, stała naprzeciw ze skrzyżowanemi ramionami na falującej piersi, — z ciemnem spojrzeniem z jakimś dziwnym, zagadkowym, nieswojskim ogniem w oczach, — głęboka bladość rozlała się po jej twarzy, — lekkie drżenie pięknego noska, — jakiś na pół ostry, na pół drwiący uśmieszek w kątach zaciśniętych ładnych ustek nie znamionowały niczego dobrego. Zapewne, toczyła się w jej piersi obecnie zacięta walka! Jaki tylko, — jaki wynik, — wypadnie?

„O, proszę mówić, Lolu", zawołał Kazimierz głosem, w którym wlał całą swą pełną, gorącą, szczerą prośbę, „proszę powiedzieć, że mnie pani uwalnia — że żąda pani dla siebie całego serca, a nie małej cząstki tegoż, — że życzy sobie pani kochającego serca, które zdolne panią uszczęśliwić, a nie chorego, złamanego cierpieniem, zrozpaczonego mężczyzny. — Stoję przed panią niby oskarżony, pani masz wydać wyrok na mnie, osądzić mnie! — O, Lolu, proszę mnie zwolnić od przyrzeczenia, a całe życie pełne wdzięczności nie wystarczy na spłacenie mego długu dla pani".

„Mam pana zwolnić", wyrwało się dziwnie ostro z bladych warg pięknej dziewczyny, „więc toby było karą dla pana żyć przy moim boku, być kochanym przezemnie? Dobrze, panie Kazimierzu Zamski, otóż wydam wyrok, a ten brzmi następująco:

„Nie zwolnię pana z danego mi przyrzeczenia, — żądam przynależnego mi prawa, — żądam, aby pan dotrzymał przysięgi, jakąś pan złożył w ręce swego umierającego ojca!"

Kazimierz połoczył się w tył, — okrzyk przerażenia wyrwał mu się z ust, — gwałtownym ruchem wyciągnął obie dłonie, jakby się chciał bronić przed demonicznie piękną istotą, przed sztywnie wyprostowaną, młodą hrabianką.

„Pani się domaga", zawołał na pół zdławionym głosem. „Lolu, pani żąda czegoś niemożliwego; — nieszczęsna, sama nie wiesz, co czynisz! Nie można żądać miłości, jeżeli ona sama nie nadleci na skrzydłach Amora, pełna uczuć i pragnienia. Ludzkie serce nie jest niewolnikiem.

Serce nie sługa, nie zna co to pany,
Nie da się okuć przemocą w kajdany;
Wolnością żyje, do wolności wzdycha,
Bez niej jak kwiatek bez rosy usycha.

„Biada, — stokroć biada temu, który chce przykuć do siebie drugiego, przemocą, nierozerwalnem ogniwem, łańcuchem skutym na cały czas życia. — O Lolu, co za straszne słowo; — łańcuchem; — żelaznemi ogniwami, — podczas, gdy dwa kochające serca powinny być spojone wieńcem z róż. — Nie, nie, ja musiałem źle słyszeć, nie zrozumiałem pani dobrze panno Lolu!

„Pani nie uczynisz mnie tak bezgranicznie nieszczęśliwym, — nie unieszczęśliwisz siebie samej! — Co panią dzisiaj jeszcze może pociąga, wydaje się ponętnem, — to zamieni się prędzej czy później w nieznośne jarzmo! Miłość, do której każdy człowiek, a więc i pani z całem upragnieniem dąży, — przemieni się w twarz Meduzy, — z przerażeniem, z obrzydzeniem odwróci się pani od niej, — odtrąci ją od siebie. —

„Jeszcze raz proszę, — Lolu, proszę mi oddać moje słowo, — pani to łatwem, — pani może, — od pani zależy tylko, czy pani zechce uczynić nas nieszczęśliwymi na całe nasze życie! — Dziewczę! — To niemożebnem, abyś zechciała zbudować dla siebie przybytek miłości na gruzach rozdartego szczęścia drugiej. — Jeżeli pomimo tego spróbujesz, czynię cię uważną, i twój gmach szczęścia runie w dół, na gruzach jego staniesz kiedyś, płacząc nad straconym rajem!"



Onegdaj odbył się w Berlinie międzynarodowy kongres filmowy. Kongres otworzył prezes Filmowej Izby dr. Scheurmann — na zdjęciu otwarcie kongresu w sali opery Kroll w Berlinie.

„Wszelką odpowiedzialność za ten krok“, odparła piękna uwodzicielka z nieubłaganą dumą, „biorę na siebie, nie puszczę cię, nie zwolnię cię, choćbym musiała walczyć o ciebie! — Tak, — i to przyrzekam, że będę walczyła, — i każdy środek, — słyszysz, — każdy środek w tej walce będzie mi dobrym! — Co mnie obchodzi szczęście jakiejś innej! Ja także pragnę szczęścia, — — pożądam go całą siłą, — ja kocham ciebie także i pożądam cię może stokroć więcej jak ta inna! Dowiedz się pełnej prawdy, bo ta chwila odsłoni ci wszystko, — wrodzony wstyd dziewiczy ulatuje w takim momencie uniesienia, — ja nienawidzę tej drugiej, która skradła mi twoje serce, — biada jej, jeżeli się poważy kiedykolwiek wejść mi w drogę.“

„Hrabianko, — pani mówi niedorzeczności!“ zawołał hrabia Kazimierz; „pani nie zastanowiła się chyba nad tem, — jakże to możebnem, żeby pana nienawidziła tej biednej istoty, która niczego innego nie posiada, oprócz mojej miłości! — Ach, toby było niesumiennem, — toby było okrucieństwem!“

„Miłość potrafi być okrutną“, zasyczała Lola.

W tej chwili zdawało się Kazimierzowi, że widzi przed sobą pięknego demona, — ta blada twarz, — rozpalone ciemne oczy, — te rozpuszczone zwoje włosów, wszystko znamionowało najwyższe uniesienie.

„Miłość potrafi silnie kochać, ale równie silnie także nienawidzieć! Moje przywiązanie do ciebie, Kazimierzu, jest tego rodzaju, że albo uczynię cię najszczęśliwszym ze śmiertelników, — albo sprowadzę zgubę na nas wszystkich troje, na mnie, na ciebie i na tę znienawidzoną, która się wkradła pomiędzy nasze serca. — Tak samo jak przysiągłeś twemu ojcu, że pojmiesz mnie za żonę,“ kończyła Lola swoją namiętnością rozognioną przemowę, „tak samo ja ci teraz przysięgam, że musisz do mnie należeć, dopóki jeszcze ostatni dech piersią poruszać będzie, — że nie puszczę cię, choćbym to miała życiem przypłacić. A teraz, mój drogi, bądź tak dobry i porozum się z moim ojcem co do czasu, kiedy nasze wesele ma się odbyć!“

Zaledwie Lola domówiła tych słów, które jak odgłos pogrzebowych dzwonów brzmiały w uszach Kazimierza, odwróciła się pospiesznie i zanim Kazimierz miał czas zawołać na nią, zniknęła z pokoju.

Młody człowiek stanął niby głaz marmurowy, bez ruchu, straszna bladość rozlała mu się po twarzy, trup jego ojca, który leżał tuż w sąsiednim pokoju, nie był więcej zmienionym, jak ten żyjący.

Nagle zaśmiał się przeraźliwie, — poczem rzucił się na sofę, krzycząc strasznym głosem:

„To było ostatnie słowo! A więc losie bij, zabij, — nie będę reagował, zrobiłeś mnie już bezuczuciowym na twe razy, — nie będziesz w stanie zranić mnie powtórnie, — ogrom przecierpianego położył gruby nieprzebity pancerz na moją pierś. — Tak więc wyglądają serca zacnych dziewcząt! To jest mowa niewinności, — to są szlachetne zapatrywania wielkiego świata!



Interesujący moment z przelotu wielkim jednopłatowcem przez hangar, przedstawia nasza ilustracja.

„Precz ostatnia resztko wiary w ludzi jakaś się jeszcze w mej piersi ostała! — Zrabowaliście mi wszystko, — wszystko co miłością i zaufaniem ku Bogu i ludziom w sercu mem drgało, — przepadło, zginęło w puszczy niezmiernego obrzydzenia, w tej czarnej czeluści jaka się przede mną rozwarła.

„A więc ja jestem narzeczonym!“ zawołał Kazimierz po dłuższej pauzie, podnosząc się ze sofy z drwiącym uśmiechem na ustach, — „haha, muszę się przecież popatrzyć w lustro, jak szczęśliwy narzeczony wygląda! Ha! Doprawdy, zupełnie jak kandydat na szubienicę, — nie inaczej, — na Boga, — nie inaczej!“

Kazimierz wpatrzył się w kryształowe szkło wysokiego lustra, stojącego pomiędzy framugami okien. W tej postawie spotkał go hrabia Zygmunt, który właśnie wstąpił do pokoju.

„Kazimierzu, mój synu“, zawołał Zygmunt, wyciągając obie ręce do młodego hrabiego, który z pospiechem się obrócił. „Lola powiedziała mi właśnie wszystko, — rozmówiliście się więc dokładnie, — a więc od tej chwili jesteście szczęśliwą parą narzeczonych!“

„Tak, szczęśliwą, — bardzo szczęśliwą!“ wydobył Kazimierz z trudem ze siebie.

„Naturalnie uwzględnię twe życzenia co do przyspieszenia dnia ślubu“, ciągnął Zygmunt dalej, który tę dziwną bladość oblicza młodego mężczyzny przypisywał boleści wskutek utraty ojca, — zapewne nie będziesz chciał czekać dopóki żałoba się skończy, chcesz w przeciągu czterech tygodni załatwić się ze wszystkiem. Masz słuszność! Ukochaną małżonkę wprowadzić do swego domu, to nie uchybia żałobie. Zresztą było to wyraźnem życzeniem ukochanego zmarłego, abyście przyspieszyli wasz związek. — Dzisiaj mamy 28 kwietnia, a więc jeżeli nic nie masz przeciwko temu, 25 maja odbędzie się wasz ślub.“

„25-go maja więc“, wyszeptał Kazimierz takim tonem, jakby to był wyznaczony termin jego śmierci.

„A więc żegnaj mi, mój synu“, rzekł Zygmunt, ściskając jeszcze raz obie dłonie młodego hrabiego, „teraz zostawimy cię, abyś mógł się swobodnie wyżalić po tak ogromnej stracie. Lola pożegnała się już z tobą, jak mi właśnie doniosła; czeka już na mnie na dole przy powozie. Spodziewamy się jednak, że odwiedzisz nas jeszcze dzisiaj! — Mój dom stoi ci naturalnie otworem; — przychodź i odchodź całkiem wedle upodobania, — należysz już przecie teraz do naszej familji, — stałeś się moim synem, — niedługo poślubisz bowiem moją ukochaną córkę.“

Objął Kazimierza i przycisnął go serdecznie do siebie, poczem wyszedł z pokoju.

Kazimierz został sam. Przeszedł najcięższą próbę. Sto razy miał już na ustach gorzką odpowiedź na serdeczne słowa hrabiego Zygmunta. Tyle razy chciał hrabiemu wszystko wyznać, szukać u niego litości, której, — której nie znalazł u Loli.

Ale nie, — przysięgi danej ojcu nie mógł łamać. Lola tylko mogła go zwolnić od tego! — Niestety, nie uczyniła tego; — tem samem było wszystko stracone.

Kazimierz wypadł z pokoju, spiesznie wkroczył do sali, w której służący położyli już nieboszczyka na sofę.

Stary kamerdyner złożył ręce swego pana w krzyż na piersiach, w skostniałe palce wcisnął mu krucyfiks.

U zwłok ojca padł Kazimierz na kolana. Szlochając zawołał donośnym głosem, jakby go chciał przywołać do życia, — jakby chciał wyrwać go z państwa cieni, wewikłać znowu w życiowe tragedje, wyżalić mu się dokładnie:

„O ojcze, — ojcze, coś ty mi uczynił! Zrobiłeś mnie nieszczęśliwym na cały czas mego życia! — O ojcze, pocoś za-



W Anglji jest przestrzegana ściśle etykieta dworska. Na zdjęciu widzimy właśnie moment uczenia młodych panien z towarzystwa, powitalnych ukłonów, których umiejętność była im potrzebna podczas uroczystości dworskich, z okazji jubileuszu króla Anglji Jerzego V.

żądał tej strasznej przysięgi ode mnie! — Skazałeś mnie na to, abym kochał inną — obcą, do której serce nie bije, ani się do niej nie wyrywa. Ach, moją Anielcię, — moją uroczą, słodką, ukochaną Anielcię zabrałeś mi! — O ojcze, srożej ugodziłeś we mnie niż owi sędziowie, którzy mnie skazali na więzienie, — małżeństwo bez miłości to więzienie bez końca!"

XLVII.

Modniarka tylko

„Mademoiselle Angela!"

„Madame, życzy sobie?"

„Połóż proszę swoją robotę na stronę! Przyjdź do mnie, — muszę pani ważną misję powierzyć."

Słowa te zabrzmiały w tylnym pokoju sklepu dla mód i strojów na włoskim boulevard w Paryżu, który odznaczał się swoją obszernością i elegancją, tak, że mimowoli oczy przechodniów a zwłaszcza dam do siebie pociągał. Trzeba było przyznać, że wystawa sklepowa z takim gustem, szykiem i elegancją była udekorowana, jaką tylko w stolicy Francji spotkać częściej można.

We wielkich dwóch oknach frontowych wystawy wisiały lub leżały na drewnianych, różowym atłasem wybitych pułkach i framugach najpiękniejsze i najgustowniejsze kapelusze wystrojone przez najbieglejsze ręce modniarek.

Całe morze różowych, białych, zielonych, czerwonych i czarnych kapeluszy damskich postrojonych w najpiękniejsze i najdroższe pióra i wstążki czarowało oko przechodnia.

Trzeba było przyznać, że właścicielka tego sklepu, madame Duprez, rozumiała się doskonale na smaku i elegancji. U dam wielkiego świata i półświatka należało do dobrego tonu nosić na pułach bujnych włosów kapelusze, sporządzone w pracowni madame Duprez; — z tego znanego powszechnie w Paryżu atelier wychodziły prawdziwe arcydzieła sztuki w swoim rodzaju. Madame Duprez przyjmowała tylko wyborowe siły, najlepsze, najzgrabniejsze robotnice. Opłacała je bardzo dobrze, nie skąpiła w wynagrodzeniu; panny więc zajęte u niej mogły być rzeczywiście zadowolone ze swego losu.

Sama pani Duprez była to jeszcze młoda, dwadzieścia kilka lat mająca śliczna brunetka z okolicy Bretagne, o południowym temperamencie i takichże rysach. Swojego czasu wyszła zamąż za oficera francuskiej armji, który zakochał się w niej po same uszy.

Naturalnie młoda mężateczka Duprez roiła sobie najwspanialsze marzenia, że zostanie kiedyś panią marszałkową Francji, — stosując się do znanego przysłowia, że każdy żołnierz nosi laskę marszałkowską w swoim własnym tornistrze, — lub opierając się na fakcie historycznym, że praczka została żoną polnego marszałka Neya.

Ale madame Duprez miała takie same szczęście, jak jej sławna poprzedniczka znana w historji pod nazwą madame Sans Gêne, której udało się usidlić swojemi wdziękami nawet Napoleona.

Po trzech szczęśliwie przeżytych latach małżeństwa jednym śnie szczęścia i rozkoszy, — do którego pełni brakowało tylko naszej parze potomstwa; — wysłano kapitana Duprez do Algerji, dając mu za zadanie, aby pokonał tamże buntujący się szczep tubylców. Gwiazda szczęścia zagasła tem samem. Zenit chwały spadł poniżej zera.

Ale madame Duprez nie była z tych natur, które upadają pod ciosami losu. Była wprawdzie podówczas biedną jak mysz kościelna, bo całe urządzenie i wszystkie meble wywieźli jej wierzyciele męża z mieszkania, pomimo tego nie straciła fantazji. Sprzedawszy resztę kosztowności i precjozów jakie z czasem podostawała od mężulka, kupiła sobie mały sklepik i rzuciła się znowu na pole modniarstwa, które już przedtem uprawiała jak była młodą dziewczyną.

I oto, — niedługo trwało, — garnęły się do niej panie, tak, że nie mogła robocie nastarczyć, obsłużyć wszystkie. Niedługo była zmuszoną powiększyć swój lokal, z czasem przeniosła go na włoski boulevard, na którym jak wiadomo znajdują się najwspanialsze pierwszorzędne sklepy Paryża. Interes szedł coraz pomyślniej, tak, że wkrótce komenderowała całym sztabem robotnic i modniarek, które pod jej sztandarem pracowały, wydoskonalając się w tak dobrze opłacającej się sztuce.

Madame Duprez była znaną z tego, że obchodziła się bardzo dobrze ze swojemi podwładnemi, chociaż umiała także być i ostrą szczególnie wtedy, jeżeli spostrzegła, że młode panny zaczynają się źle prowadzić, pędzą dwuznaczny tryb życia. Bez pardonu oddalała takie natychmiast od siebie. Trzymała się tej zasady i wypowiadała ją otwarcie:

„Świat sądzi o nas bardzo lekkomyślnie, musimy przeto całem naszem zachowaniem i życiem wykazać, że się myli, że sąd ten jest poprostu kłamstwem."

Właśnie stała madame Duprez w swojem małem biurze, znajdującem się w tylnym trakcie pokoi roboczych i była zajętą adresowaniem jakiegoś listu.

Modniarka, którą wywołała, stanęła w drzwiach, czekając na dalsze rozkazy swojej szefowej.

„Proszę bliżej, mademoiselle Angela" odezwała się madame Duprez, właścicielka sławnej firmy „pod królową kapeluszy", — dumny ten tytuł figurował na szyldzie ponad drzwiami sklepu, — „muszę pani dać dzisiaj zlecenie, które właściwie nie wchodzi w zakres jej obowiązku, jednak spodziewam się, że nie odmówi mi pani tej przysługi, o którą ją poproszę."

„Naturalnie nie, madame", odpowiedziała młoda robotnica w miękkim tonie, spoglądając na swoją chlebodawczynię, pytająco swojemi pięknemi niewinnemi oczyma.

„Proszę wziąć ten kufer", ciągnęła dalej właścicielka sklepu, — „on zawiera w sobie wybór najpiękniejszych i najdroższych kapeluszy damskich. Musi się pani udać z nim do jednej damy, która życzy sobie je oglądnąć. Rozchodzi się o wyprawę ślubną, — musi pani tę damę sama obsłużyć. Naturalnie proszę się starać, aby zakupno wypadło hojnie, — ku naszej korzyści. Wszystko inne pozostawiam pani do dalszego rozporządzenia, spuszczając się na jej zgrabność i dar przypodobania; trzeba naturalnie umieć z gracją i wdzięcznie obsłużyć taką damę, — najpiękniejszy, sztucznie sporządzony nawet kapelusz traci na wartości w ręku niezgrabnej, niesympatycznej modniarki."

„Dziękuję madame za to zaufanie, jakiem mnie pani zaszczyca", odpowiedziała młoda robotnica o imieniu Angela, — „proszę być przekonaną, że dołożę wszelkich sił i starań, aby zakupno wypadło jak najpomyślniej dla nas."





Na wystawie psów we Frankfurcie nad Menem nagrodę kanclerza Rzeszy otrzymał mały angielski cocker spaniel (z lewej). Równocześnie pies ten otrzymał tytuł „najlepszego psa na świecie". — Drugą nagrodę otrzymał owczarek „Stella" (z prawej)

„Musi sobie pani wziąć dorożkę", odezwała się madame Duprez powtórnie, „sama nie mogłaby pani udźwignąć tego kufra. Dama ta zamówi również u pani welon ślubny, — zapewne każe sobie także u nas wieniec mirtowy sporządzić, proszę więc wszystko dokładnie omówić i obsłużyć tę damę ku jej zadowoleniu.

„Tutaj", kończyła madame Duprez swoje zlecenia, „jest adres. Dama ta jest hrabianką, — nazwisko jej: Lola Sokolska, — jest Polką, — naturalnie musi umieć równie dobrze i płynnie po francusku, ale przyjemniej jej będzie, jeżeli będzie mogła wszystko omówić w swoim ojczystym języku, a pani przecież umie dobrze po polsku, — nieprawdaż?"

„Tak jest, madame, umiem również dobrze po polsku jak i po francusku, — jestem przecież Polką."

„Proszę tego tak głośno nie wyjawiać, pani wie dobrze, że czas teraźniejszy choruje na szowinizm narodowy i językowy, inne panny w sklepie mogłyby się oburzyć, że przyjmuję do siebie panny innej narodowości, podczas gdy tyle rodowitych Paryżanek nadaremnie szuka za zajęciem. Wprawdzie Polacy są sympatycznym dla nas Francuzów narodem, ale zawsze jak powiada przysłowie, bliższa koszula ciała. Ja specjalnie nie troszczę się tymi swarami i kłótniami i cenię również wysoko nie Francuzkę jak Francuzkę, jeżeli swoim charakterem i zachowaniem się zasługuje na to.

„Każda panna miła mi, jeżeli tylko posiada poczucie obowiązku i pracuje jak się należy, — co do pani muszę nawet wyznać, że panna Angela aż do przesady jest obowiązkowa, — postanowiłam sobie nawet wyłajać panią za to."

„Ach, madame —"

„Niema co odpowiadać, pani straci swoje zdrowie, jak zechce pani dalej tak pracować jak dotychczas. Osiem tygodni jest panna Angela u mnie, a nie było wieczora, aby pani nie siedziała dłużej jak obowiązek nakazuje, nie pracowała ponad godziny. — Ja cenię wprawdzie bardzo pracowitość i wierność w spełnianiu obowiązków, ale ta myśl, że może sobie ktoś u mnie przez zadługie ślęczenie nad pracą popsuć swoje zdrowie jest mi wprost straszną."

„Więc madame zadowolona ze mnie?"

„Ależ naturalnie, w następnym miesiącu muszę pani podwyższyć płacę o dwadzieścia franków; najbliższego p'erwszego dostanie pani sto dwadzieścia franków na rękę jako miesięczne wynagrodzenie."

„Och, madame, to więcej jak zasługuję", zawołało młode dziewczę. „Pani nie pojmie jak ja szczęśliwa już tem samem, że znalazłam zajęcie w pani sklepie. Madame", ciągnęła dalej Angela, podczas gdy dwie wielkie łzy spływały jej po policzkach, „ja już wiele smutnych doświadczeń przeżyłam, pomimo tego, że jestem tak młodą jeszcze. Praca rozrywa mnie, nie pozwala mi rozmyślać nad smutną przeszłością, — dlatego proszę pani, — proszę mi nie zabraniać pracować."

„Ależ, nie umie pani spędzić przyjemniej wolnych wieczorów?" spytała madame Duprez, „nie ma pani tutaj w Paryżu jakich krewnych?"

„Nie, madame", odparło młode dziewczę, „nie mam żadnych krewnych na świecie."

„Ani przyjaciół?"

„Ani przyjaciół, madame."

„A rodzice?"

„Jestem sierotą, madame! W zaraniu życia przywiózł mnie jeden dobry człowiek tutaj do Paryża. Jemu zawdzięczam moje wychowanie, później szukałam za matką, o której wiedziałam, że ma być w księstwie Poznańskiem, — niestety nie udało mi się jej odnaleźć. — Obecnie muszę powątpiewać czy wogóle ona jeszcze żyje, prawdopodobnie umarła i osierociła mnie."

Pani Duprez była wzruszoną. Podając młodemu dziewczęciu rękę odezwała się przychylnie:

„To prawda, to smutna historja, jeżeli młode dziewczę stoi samotnie w świecie. Ale pani jesteś bardzo piękna; — nie znalazłaś pani jeszcze żadnego mężczyzny, któryby pani wyznał, że ją kocha?"

Młoda panienka podniosła ręce do góry, wołając z prośbą w głosie, — błagalnie:

„O madame, mnie się zdaje, że mówię do matki, dlatego chcę pani całą prawdę wyznać. Tak jest, poznałam jednego szlachetnego mężczyznę, który zakochał się we mnie i chciał się ze mną ożenić. Niestety, smutne wypadki zaszły tymczasem rozdzielając nas; — nie ujrzałam go więcej. Straszny cios losu zmusił mnie w poprzednim roku do opuszczenia ojczyzny, — zagnał mnie aż do dalekiej Rosji. Co ja tam przebyłam trudno opowiedzieć, powiem tylko tyle, że prawdziwym cudem wyrwałam się z tej

okropnej pustyni rosyjskiej, cudem dostałam się tutaj do Paryża. — Ach, gdyby madame wiedziała, domyślić się mogła —"

„O tem wszystkiem, moje dziecko", przerwała pani Duprez, „opowiesz mi w następną niedzielę. Musisz przyjść do mnie na wizytę, zrobimy sobie herbatkę i przy filiżance opowiesz mi dokładnie o wszystkiem. Te napomknienia twoje rozciekawiły mnie, chciałabym się chętnie dowiedzieć o całym twym losie, — a więc w niedzielę. — A teraz proszę pójść za interesem i proszę wrócić niedługo."

W kilka minut siadła młoda robotnica do fiakra. Kufer umieścił woźnica na górze. Szybko niosły ją konie do Faubourg Saint Germain, najpierwszej dzielnicy Paryża, gdzie mieszkała tylko sama śmietanka wielkiego miasta. Przed ładnym dwupiętrowym pałacem na Rue de Rivoli zatrzymał się powóz. Młoda dziewczyna wyskoczyła ze środka i pociągnęła za dzwonek, wiszący u bramy.

Natychmiast otwarły się podwoje u wejścia. Portjer w gęsto złotem nasianej liberji zjawił się u progu, pytając mademoiselle Angelę, czego sobie życzy.

„Przybywam od madame Duprez, właścicielki składu kapeluszy na włoskim boulevard, — jestem oczekiwaną, proszę mnie zameldować hrabiance."

Służący poprowadził przybyłą po kobiercem wysłanych schodach na górę, poczem oddał ją w opiekę innemu lokajowi, któremu szepnął krótkie objaśnienie w ucho, sam udał się na dół w celu zawołania dwóch innych służących, aby wynieśli na górę kufer, który woźnica wniósł właśnie do przedsionka. Mademoiselle Angelę wprowadził lokaj do salonu poczekalnego i poprosił ją siadać.

Niedługo rozwarła się jedwabna kotara, młode śliczne dziewczę, ubrane w bogaty turecki szlafrok, weszło do elegancko urządzonego saloniku.

„Ach, pani przychodzi z kapeluszami!" zawołała Lola Sokolska, — bo ona była tą hrabianką, zamawiającą wyprawę, — z pewną niedbałością w głosie i z dumą w oczach musztrujących powabną, pełną wdzięków twarzyczkę młodej robotnicy, „zachwalano mi bardzo madame Duprez, — no zobaczymy, czy ona zasługuje na tę dobrą opinję; — proszę mi pokazać kilka egzemplarzy, potrzebuję jeszcze kilka kapeluszy do uzupełnienia mojej wyprawy."

Zastępczyni madame Duprez otworzyła kufer. Mimowolny okrzyk zdumienia wyrwał się z ust Loli.

„Ach, to śliczne rzeczy", zawołała, „cudowne, — widzę już, że wcale się nie pomylili ci, którzy mi tak gorąco zachwalali madame Duprez, jako pierwszą artystkę w swoim fachu. — Ciekawam, czy będzie mi do twarzy ten kapelusz o świeżo zielonej barwie, z brukselskiemi koronkami?"

„On dobrze wprawdzie leży, panno hrabianko", odpowiedziała młoda robotnica, „ale ja nie radziłabym go pani, — on trochę za jaskrawej barwy a to do każdej twarzy stosowne".

„Może ma pani rację! Ale ten tutaj z tym perłowym połyskiem, ach ten naprawdę bardzo piękny, — ten muszę sobie kupić w każdym razie!"

„Łaskawa pani, — podziwiam pani wyborny gust i znajomość, ten kapelusz rzeczywiście jeden z najpiękniejszych w całym naszym składzie."

Po porządku przejrzała Lola wszystkie kapelusze, wybierając sobie kilka najładniejszych. Wielką wagę kładła przy tem na zdanie młodej robotnicy, u której jak spostrzegła, gust i smak znakomity podały sobie ręce.

„Ale prawda", odezwała się Lola ze żywością, „polecono mi także madame Duprez jako artystkę od sporządzania ślubnych welonów, — jeżeli potrafi podobne do tych kapeluszy stworzyć arcydzieła, to zamawiam sobie zaraz jeden dla mnie, ale z prawdziwych koronek; naturalnie nie opłaci się u innej firmy obstalowywać mirtowego wieńca, więc proszę i o ten się postarać".

„Dziękujemy bardzo, łaskawa panno hrabianko, za to zaszczytne zamówienie, postaramy się i co do tego, trafić do gustu łaskawej pani. Którego dnia rozkaże pani dostarczyć sobie zamówione rzeczy?"

„Mój ślub ma się odbyć dwudziestego piątego bieżącego miesiąca".

„Ach, to już pojutrze! W takim razie musimy się bardzo spieszyć. Ale proszę być spokojną, w oznaczonym terminie będzie wszystko punktualnie dostawione."

„Przyniesie pani sama te rzeczy?"

„Tego nie wiem jeszcze, łaskawa hrabianko", odpowiedziało młode dziewczę, „to dopiero rozstrzygnie pani Duprez".

„Jabym sobie jednak życzyła, żeby mi pani przyniosła mój welon i wieniec ślubny", zawołała Lola, „ba, — miałabym nawet jeszcze inną prośbę do pani, tylko nie wiem, czy się pani zgodzi na to. Właśnie miałam sposobność podziwiać pani gust wyborny i zręczność znakomitą, a moja garderobiana, którą mi mój ojciec wyszukał tu w Paryżu, prawdę powiedziawszy, wcale mnie nie zadawala. Już teraz drżę na tę myśl, że ta osoba ma mnie ubierać do ślubu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

KĄCIK ROZRYWKOWY

REBUS

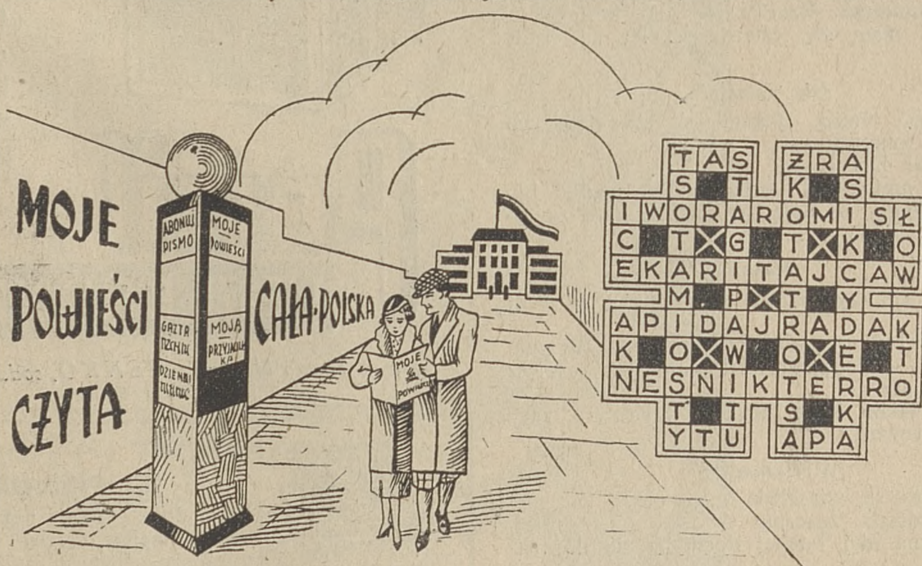


REBUS — SZARADA
ułożył J. B.

Parą wzlatuje w górne przestworza,
Pół damy w kole
Stoi na stole.
A sama jedna płynie do morza.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książki. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 17 maja br.

Rozwiązanie



Powyżej podajemy pomysłowo wykonane rozwiązanie krzyżówki — wirówki przez jednego z naszych Czytelników z numeru 15 „Moich Powieści".

Rozwiązanie zadań z numeru 16 „Moich Powieści": Rozsypanka: 1) Warszawa, 2) Inowrocław, 3) Olkusz, 4) Sandomierz, 5) Nakło, 6) Aleksandrów, 7) Istebna, 8) Drohobycz, 9) Zgierz, 10) Iwonicz, 11) Emiljanowo: WIOSNA IDZIE!

Bilety wizytowe: Admirał, handlowiec.

Trafne rozwiązania nadesłali: Henryk Silczyński, Warszawa; Czesław Kozłowski, Warszawa; Ł. Kokotowa, Mielęcin; „Aleksiej", Janusz Jadłowski, Rozprza; Wacław Grzegorek, Jasienica; Leonard Zorawowicz, Mołodeczno; Jan Ambroszewicz, Mołodeczno; Marja Braun, Mołodeczno; Stefanja Niewiarówna, Mołodeczno; Jadwiga Maczkowska, Brzeziny; Barbara Gabisiowa, Mogilno.

Nagroda w drodze losowania przypadła pp. Władysławie Grubowskiej, Biskupice, poczta Lubianka, pow. Toruń i Henrykowi Silczyńskiemu, Warszawa, ul. Belwederska 10 m. 11.

HUMOR

Humor Z. S. R. R.

Miszcugier miał wysłać list do Rosji. Napisał więc na kopercie następujący adres: Rosja, Moskwa, Obywatelowi Cypkinowi, do rąk własnych.

Jednakże w tej chwili przyszło mu na myśl, że przecież w Rosji niema własności prywatnej, przeto zmienił adres w ten sposób:

„Obywatelowi Cypkinowi do rąk, danych na dożywotną używalność.“

Kto komu?

Aktor K. spotkał na ulicy protektora sztuki i prosi go o małą pożyczkę — 200 złotych.

— Drogi przyjacielu, mam przy sobie 200 zł proszę oto 100 zł.

K. dziękuje, odchodzi, wtem zawraca, dogania protektora i pyta:

— Pardon, ale nie orjentuję się teraz, kto komu winien 100 złotych, pan mnie, czy ja panu?

Tancerz

— Ten taniec pragnąłbym z panią tańczyć aż do rana.

— Czy sądzi pan, że do tego czasu nauczyłby się pan tańczyć?

Przed ślubem — po ślubie

Do magazynu wchodzą dwie panie, matka i córka.

Córka: — Proszę mi pokazać dobre i eleganckie rękawiczki dla mego narzeczonego.

Matka: — Ja poproszę o parę tanich rękawiczek dla mojego męża.

Pocieszenie

Słyszałem, że pański sklep wczoraj w nocy okradziono. Czy wielkie straty?

Nie bardzo. Gorzej byłoby, gdyby złodzieje dostali się o dzień wcześniej. Akurat wczoraj ogłosiłem wyprzedaż i zniżyłem ceny o 20 procent.

Nareszcie

Pewna stara panna miała zwyczaj, wracając do domu zaglądać pod łóżko, czy się nie ukrył złodziej. Pewnego razu istotnie znalazła ukrytego rzezimieszka. Rzuciła się doń, wołając:

— Ha! mam cię, czterdzieści lat na ciebie czekałam!

Dla pamięci

— Wiesz mężu, powinieneś bezwarunkowo kazać się fotografować.

— Poco? Dla kogo?

— Dla mnie, mój kochany. Tak rzadko bywasz w domu, że boję się, iż zapomnę zupełnie jak wyglądasz.

Kara

Pewien chińczyk stanął po śmierci u wrót raju.

— Czyś był w czyśćcu? — pyta go Brahma.

— Nie — odpowiedział chińczyk — lecz byłem żonaty.

— W takim razie możesz wejść. Te kary są sobie równe.

Wytłumaczył

— Co to są właściwie manowce?

— To droga znacznie dłuższa od prostej.

— Ale na niej łatwiej dochodzi się do majątku?

— Oczywiście: Musi być przecież jakaś sprawiedliwość na tym świecie.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8
Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.